

Anna Rudawcowa



Część I

Idzie ulicą... Minę ma dumną i nieprzystępną... Przechodnie oglądają się za nią z zachwytem. Jakiś pan woła do swego towarzysza: „Klasa dziewczyna! Prawdziwa księżniczka z bajki!”

Młodzi studenci trącają się łokciami: – „patrz, patrz! Szałowa babka!”

...Nagle z tłumu wyłania się wysoki brunet... Przystojny, elegancki... – Przepraszam najmocniej, jestem reżyserem filmowym... Kręcimy nowy polski film... Wspaniały film... I właśnie nie mamy bohaterki. Czołowa rola – jakby stworzona dla pani! Gdy tylko panią zobaczyłem – pomyślałem sobie: – ta, albo żadna!

Robi minę zdziwioną i trochę obrażoną: – pan daruje, ale jak można tak obcesowo, na ulicy... Cóż za śmiałość!... Zresztą dlaczego właśnie ja... do tego filmu... Nie rozumiem!

– Błagam panią, niech pani nie odmawia! Nie znajdę lepszej bohaterki! Nie chce innej! Zobacz pani – sukces zapewniony! Zrobię z pani gwiazdę pierwszej wielkości!...

A na drugi dzień – światła jupiterów, próbne zdjęcia... I zachwyty, zachwyty!... Łapicki i Gliński wodzą za nią rozkochanymi oczami. Szaflarska, Janowska, Kraftówna zieleńią z zazdrości... Kalina Jędrusik dostaje spazmów. Bo oto wchodzi nowa gwardia ekranu, która zaćmi wszystkie inne!...

– Mogłaby panienka uważać, chodzi jak lunatyczka! – Gruba babina, którą Iza potrafiła w ferworze marzeń, obrzuca dziewczynę złym spojrzeniem: – cóż to za młodzież dzisiejsza! Rozpycha ludzi na ulicy i nawet nie przeprosi! – Ale Iza jeszcze pławi się w sukcesach, jeszcze gra swoją wielką rolę, więc pretensje nieznanomej kwituje promiennym uśmiechem, pełnym wyższości i tryumfu.

Nadjeżdża czwórka. Dziewczyna zgrabnie wymija tłum czekających na przystanku, wskakuje na stopień i po chwili zajmuje miejsce przy oknie. Teraz przymknąć oczy i marzyć dalej.

A więc sukces niebywały: kwiaty, zachwyty, podziw, zawrotna kariera gwiazdy, a wszędzie gdzie się ukaże, ścigają ją spojrzenia i szepty: „patrzcie, patrzcie! To Nieczajkowska!”

– Te smarkule są niemożliwe – nikogo nie uszanują! Rozsiadła się i śpi sobie w tramwaju, a starsze osoby stoją!

Iza otwiera oczy. Naokoło nachmurzone twarze i nieżyczliwe spojrzenia. Jakiś zgarbiony, wsparty na lasce staruszek wzdycha:

– Tak, tak moja pani, żadnego wychowania, żadnego autorytetu!

Dziewczyna zrywa się zmieszana, bąka coś pod nosem, ustępuje staruszkowi miejsce i przeciska się do wyjścia. Po drodze wytrąca koszyk z rąk jakiejś wieśniacki i nadeptuje na elegancki pantofelek bardzo wystrojonej i mocno umalowanej pani. – Proszę uważać! – syczy tamta – oczu pani nie ma! Grupa dryblasów z tarczami Technikum Mechanicznego na rękawach płaszczy, przygląda się Izie bezczelnie, śmiejąc się głośno: – a to się cizi dostało!

Przeskok od marzeń do rzeczywistości jest zbyt gwałtowny, zbyt brutalny. Połykając łyż Iza wysiada z tramwaju. Do domu jeszcze dwa przystanki, ale lepiej iść niż wysłuchiwać docinków i kłótni pasażerów. Koniec z marzeniami na dziś! Piękne wizje spłoszone przez szarą rzeczywistość rozwiały się bez śladu. Nie ma już słynnej na całą Polskę – ba! na cały świat podziwianej, uwielbianej artystki. Jest uczennica Iza Nieczajkowska, która wędruje ze szkoły do domu. Biedna, strącona na bruk gwiazda!

— • — • — • —

W domu Leszek buszuje w spiżarni. Pani Helena jeszcze nie wróciła z biura. Iza staje przed lustrem i długo, uważnie przygląda się swojemu odbiciu. Może warto pójść do fotografa? Przydałoby się jakieś efektowne zdjęcie.

Fotograf umieści je na wystawie, jakiś impresario zobaczy i z miejsca zostanie oczarowany. Przecież wszystko może się zdarzyć. Tylko, w co się ubrać do tego zdjęcia? Wszystkie jej sukienki są zbyt skromne. Żeby uszyć suknię obcisłą, lśniąca, z dużym dekoltem i fantazyjnym kwiatem na ramieniu! Tak, ale skąd wziąć pieniądze na taką suknię? Nie, nie, próżne marzenia! A szkoda! Zdjęcie mogłoby zrobić furorę. Trafić do „Filmu” albo innego pisma. Iza odrzuca głowę, przechyla trochę na bok, uśmiecha się kusząco, mruży oczy. Może w ten sposób? Albo tak: robi minę wyniosłą i dumną, lekko ściąga brwi. Też nieźle!

– Czego ty się tak wykrzywasz jak małpa? – Leszek staje w drzwiach i przygląda się siostrze z dezaprobatą. W ręce trzyma dużą pajdę chleba z powidłami. Powidła spływają mu po palcach i po brodzie, skapują na ubranie, na podłogę, ale Leszek tego nie zauważa.

– Wynoś się smarkaczu! Idź umyj się! Jak ty wyglądasz?! Całą podłogę zachlapałeś! Dostaniesz od mamy, zobaczysz!

Leszek wycofuje się niechętnie. Dla uratowania honoru, wykrzywia się pogardliwie i demonstracyjnie oblizuje lepkie z powideł palce.

— • — • — • —

Kiedy pani Helena, dźwigając pełną zakupów siatkę wchodzi do mieszkania, zastaje Izę siedzącą na tapczanie i z ponurym wyrazem wpatrującą się w przeciwległą ścianę.

– Chora jesteś? – zaniepokoiła się pani Helena.

Iza macha ręką: – gorzej!

– Dwójka z matematyki?

– Jeszcze gorzej! Patrz! – tragicznym gestem wyciąga do matki rękę, w której tkwi para cieniutkich pończoch: – oczko poleciało w nylonach! Rozumiesz? Moje jedyne nylony, które sobie niedawno kupiłam!

– Ścisłej mówiąc, które wymęczyłaś u mnie na święta.

– Nieważne, kto sfinansował tę imprezę (dla mnie – owszem – ważne, mru-

czy pani Helena pod nosem), dość, że nie mam w czym iść dziś wieczorem na prywatkę do Oleńki.

– Do wieczora masz czas, możesz zanieść do złapania. A w ogóle uważam, że stanowczo za dużo jest tych tańców i prywatek – pani Helena już krzątała się w kuchni przy obiedzie i jej podniesiony głos brzmi stamtąd trochę ostro. – Matura na karku, a tobie w głowie same głupstwa.

– Mamo, jestem głodny! – piszczy Leszek.

– Widzisz przecież, że dopiero przyszedłam z pracy. Musisz poczekać.

– Całą szpizarnię splądrował i ciągle jeszcze głodny – mówi Iza złośliwie – podłogę zachlapał powidłami.

– Ale ty, Izo, mogłabyś przynajmniej kartofle naobierać i jarzyny oczyścić do obiadu. Dorosła dziewczyna, a żadnej pomocy w domu nie ma!

– Ona nie miała czasu, bo godzinę wykrzywiała się do lustra, a potem grzebała w swoich szmatkach – mści się Leszek.

– Pilnuj swego nosa, smarkaczu, co ty tam wiesz! Mamo, zanim obiad będzie gotów, zaniosę nylony do złapania. Daj pieniądze, muszę też kupić trochę jabłek na prywatkę, bo to składkowa. Każdy coś przyniesie.

Pani Helena z westchnieniem odrywa się od garnków, otwiera torebkę i długo w niej grzebie zanim wyciągnie dwadzieścia złotych. – Tylko uważaj, Izo, oszczędzaj, do pierwszego jeszcze tak daleko.

– Ach, mamo – Iza krzywi się z niesmakiem – wiecznie uważać, oszczędzać, liczyć każdy grosz! I tak od pierwszego do pierwszego – cóż to za życie! – Wychodzi z miną obrażonej królowej, a pani Helena z ponownym westchnieniem wraca do swoich garnków.

Jest zmęczona, bardzo zmęczona. W biurze miała ciężki dzień – zważyło się tyle pracy, samej terminowej. Kierownik był w złym humorze, złościł się o byle co i popędzał pracowników: „prędzej, prędzej, to ma być załatwione od ręki”! Wyszła o trzeciej zupełnie ogłupiała, a tu jeszcze bieganie po sklepach, wystawianie w kolejkach. Siatka z zakupami wydaje się niepraw-

dopodobnie ciężka. Jak dobrze byłoby po przyjściu do domu położyć się na pół godziny, odpocząć, nie myśleć nawet o niczym. Ale w domu czeka nowa praca: gotowanie, zmywanie, sprzątanie, jakaś przepierka. I tak do wieczora. I te wieczne kłopoty z układaniem domowego budżetu, z dziećmi. Leszek potrafi być dokuczliwy i nieznośny. Iza myśli tylko o łażkach, tańcach i karierze gwiazdy filmowej. Żadnej wyreki, żadnej pomocy!...

Obiad gotów. Pani Helena wchodzi do pokoju, żeby nakryć do stołu. Po drodze zahacza spojrzeniem o swoje odbicie w lustrze. Widzi zmęczoną twarz, blade policzki, podkrążone oczy. W niedbale zaczesanych włosach – pierwsze siwe pasma. Ileż ma lat? Czy naprawdę dopiero trzydzieści osiem? Wydaje się sobie starą, bardzo starą kobietą.

— • — • — • —

Przy obiedzie Leszek grymasi jak zwykle: – znowu zupka na siekierze! Zjadłbym talerz dobrego, tłustego rosółu, najlepiej z kury. – Ja bym też zjadła! – wzdycha pani Helena. Iza jest ożywiona: nylony zostały „złapane”, perspektywa wieczornej zabawy podnieca ją. – Wiesz, mam, chłopcy mają przynieść adapter i całą masę najnowszych płyt. Ach, gdybyś mogła zafundować mi jakąś szaloną suknię ze złotej lamy albo brokatu!

– Na prywatkę? – dziwi się pani Helena.

– Niekoniecznie na prywatkę, ale tak w ogóle powinnam mieć przynajmniej jedną porządną sukienkę.

– Wszystkie twoje sukienki są zupełnie porządne – oświadcza pani Helena stanowczo – a lamy i brokaty sprawisz sobie sama kiedyś w przyszłości.

– W przyszłości, w przyszłości! Kiedy? Jak będę już taka stara jak ty?!

Pani Helena uśmiecha się trochę smutnym, trochę gorzkim uśmiechem:

– dobrze żebyś przynajmniej wtedy mogła sobie pozwolić na brokaty. Bo ja – niestety – dotąd ich nie mam.

– Bo już nie potrzebujesz! Po co ci szalowe suknie?

– Tak, oczywiście, masz słuszość. Po co? – I pani Helena energicznie za-

czyna zbierać ze stołu.

Część II

– Żeby mi się mama nie kręciła po pokoju, jak do mnie przyjdą goście
– mówi Oleńka przesuwając meble. – Najlepiej niech mama zaraz idzie spać.

Kuleszowa uśmiecha się dobrodusznie. Ma zniszczoną, wymizerowaną twarz i łagodne wyblakłe oczy, które patrzą na córkę z uwielbieniem i zachwytem.

– Jakie tam spanie, córuchno! Mam jeszcze roboty na pół nocy. Prasowania cały stos. A połatać, guziki poprzyszywać, któż to za mnie zrobi?

– Nie może mama tego na jutro odłożyć?

– Jutro to samo co i dziś: rano fabryka, a na popołudnie w domu nowa robota się znajdzie. Ale ty się nie bój, Oleńko, ja wam przeszkadzać nie będę. Po cichutku sobie w kuchni będę robiła co trzeba. A wy się bawcie!

Przy drzwiach odzywa się dzwonek.

– Idą! No, niech mama już zwiewa do kuchni, ja sama otworzę.

Kuleszowa posłusznie wycofuje się z pokoju, a Oleńka biegnie otwierać.

– Izo! Jak dobrze, że przyszłaś pierwsza! Pogadamy sobie jeszcze zanim zbierze się reszta. Rozbieraj się.

Iza ściąga płaszczyk i beret, poprawia włosy przed lustrem.

– Nie ma jeszcze nikogo? – dziwi się.

– Spóźniają się jak zwykle, ale powinni być lada chwila. Zapalisz?

Iza kiwa głową potakująco. Wstydzi się przyznać, że papierosy wcale jej nie smakują, że ma po nich mdłości. Palenie na prywatkach w ściśle koleżeńskim gronie należy do programu zabawy. Jest „modne”. Przyjmuje więc od Oleńki papierosa i zapala niezgrabnie. Spod oka obserwuje Oleńkę i z satysfakcją stwierdza, że i ona nie zalicza się do wprawnych palaczek.

Pałą w milczeniu, bo każda boi się, żeby nie zakrzusić. Iza niespokojnie ogląda się na kuchenne drzwi.

– Pani Kuleszowa w domu? – pyta od niechcienia.

– Staruszka siedzi w kuchni, ma tam jakąś swoją robotę – Oleńka wstydzi się przyznać, że matka w chwilach wolnych od pracy w fabryce „dorabia” praniem bielizny sąsiadek. Wstydzi się jej zaniedbania, jej zawsze spracowanych rąk. Ach, czemuż nie ma bardziej efektownej matki!

– Okropne jest to wieczne klepanie biedy – ciągnie idąc za tokiem swych myśli: – praca, praca i odmawianie sobie wszystkiego. Chciałabym być bogatą, bardzo bogatą. Pomyśl sobie: mieć wspaniałe, duże mieszkanie, całą masę strojów. Jeździć własnym samochodem, zajadać czekoladę i tańczyć na wielkich balach – to dopiero życie! Ale nie ma cudów – w Totolotka nie wygram. Ot, skończę budę, wstąpię na Politechnikę i dalej nic z tego nie będę miała.

– Marzę o szkole filmowej! – wzdycha Iza – czuję, że mogłabym zrobić karierę.

– Owszem, artystki filmowe chyba nieźle zarabiają.

– Nawet nie o to chodzi. Najważniejsze – być sławną, uwielbianą, podziwianą – rozumiesz? Tylko, że droga do filmu poprzez szkołę jest taka długa. A są przecież dziewczęta, które robią błyskawiczną karierę. Wpadnie w oko jakiemuś reżyserowi, zainteresuje się nią i sukces zapewniony.

– To się zdarza tylko w książkach – mówi Oleńka sceptycznie.

– Ale wiesz – zmienia nagle temat – Edek ma przyprowadzić jakąś nieznaną babkę. Nie chodzi już do żadnej budy – pracuje w biurze i podobno grała w filmie, nawet do dziś ma tam znajomości. Pogadaj z nią.

Iza nie jest zachwycona nowiną – myślała, że Edek zostanie jej partnerem na dzisiejszy wieczór, a tym czasem będzie prawdopodobnie obtańcowywał „swoją” babkę. Niewiadomo co to za jedna. Może zechce zadzierać nosa? Ale skoro ma znajomości w filmie...

Znów brzęczy dzwonek. – No, nareszcie! Zrywają się obie i biegną do drzwi. Tym razem to już prawie cała paczka w komplecie. Są chłopcy: Edek, Lucek, Jurek i Marek, jest Małgosia, tylko Ziotki brak. Zamiast niej – jakaś nieznajoma panna, pewnie babka Edka.

Pokój od razu wypełnia się śmiechem i gwarem. Wszyscy mówią naraz.

– Cześć pracy!

– Chodźcie, chodźcie! Czemu tak późno?

– Wszystko przez te płyty!

– Nie, to Małgosia tak się guzdrała!

– Rozbierajcie się! Tu płaszcz, tu!

– Jest adapter, są płyty! Niech żyją chłopcy!

Edek, wysoki, przystojny blondyn z kręconą czupryną, przedstawia obecnym nieznajomą panienkę: – poznajcie się, to – Mira.

Iza obrzuca przybyłą uważnym, taksującym spojrzeniem. Niebrzydka, ale ma w sobie coś wyzywającego. Duże czarne oczy są zanadto rozbiegane. Włosy złoto-rude (ufarbowane – stwierdza Iza w duchu), spiętrzone na czubku głowy, tworzą kunsztowną i modną fryzurę. Z umalowanych ust aż kapie szminka. Jednocześnie Iza spostrzega, że „szałowe” szpilki na zgrabnych nóżkach Miry, są już mocno przyniszczone, a jaskrawo zielona, zanadto wydekoltowana sukienka z taniego sztucznego jedwabiu, nie zdradza ani prawdziwej elegancji, ani dobrego smaku. Obecność tej nieznajomej panny, „artystki” i urzędniczki, pachnącej kiepskimi perfumami, jest w pierwszej chwili dla dziewcząt trochę krepująca. Co też strzeliło do głowy Edkowi, żeby tu ją sprowadzać? O czym z nią gadać? Czy ona nie ma zamiaru traktować ich trochę z góry jak smarkaczy? Rozsiadła się wygodnie na kanapie, nogę założyła na nogę, że aż kolana widać, wyciągnęła z torebki papierosa i ćmi jak stary palacz. To nie ich nieudolne zaciąganie się, krztuszenie i źle ukrywany niesmak. Mira pali z lubością, ze znanstwem i dziewczęta czują się upokorzone, że nie potrafią jej na tym polu

dorównać. Nawet energiczna, „pyskata”, jak ją nazywają Oleńka, czuje się trochę nieswojo w towarzystwie tej panny i kręci się w kółko bezradnie nie wiedząc od czego zacząć rozmowę.

Chłopcy zajęli się adapterem, wyprobowują płyty i nie myślą śpieszyć się z pomocą. Małgosia, przezywana „śpiącą królową” siedzi obojętna, milcząca i tylko ona nic sobie nie robi z obecności Miry. Jest, jak zwykle zapatrzona w siebie, we własną urodę. Buzię ma rzeczywiście niebrzydka, ale pozbawioną wszelkiego wyrazu. Na ustach stale ten sam pogardliwy uśmieszek. Gdy porusza się albo mówi – robi wrażenie nakręconej lalki. Jedni powiadają o Małgosi, że jest bardzo dumna, inni – że po prostu głupia. Nie ma właściwie żadnej przyjaciółki, bo koleżanki nie lubią Małgosi i unikają jej. Na prywatkę Oleńki została zaproszona ze względu na Jurka, który jest w Małgosi zakochany.

– Czy Ziotka nie przyjdzie? – odzywa się wreszcie Iza, chcąc przerwać milczenie.

Oleńka rozkłada ręce – sama nie wiem! Obiecała, że przyjdzie na pewno. Ale znasz ją – jest jakaś dziwna – z nią nigdy nie wiadomo.

– Zdaje się, że ma w domu dość trudne warunki – odzywa się Marek – może nie miała pieniędzy na swój udział w prywatce.

– To przecież nieważne – oburza się Oleńka – nie ma żadnego przymusu. Powiedziałam od razu: kto chce i może niech coś przyniesie, ale to nikogo do niczego nie zobowiązuje.

– Owszem, owszem, zobowiązuje! – krzyczą chłopcy chórem i wszyscy rzucają się do swoich płaszczy i torebek, żeby powyciągać przyniesione wiktuały, a właściwie jak się okazuje, same łakocie. Iza przyniosła jabłek, Małgosia – dużą torbę herbatników, chłopcy czekoladę i cukierki, a Edek z tryumfem wyciąga butelkę wina.

– Ja też nie przyszedłam z pustymi rękami – Mira z czarującym uśmiechem wyciąga z torby kółko kiełbasy i... pół litrową flaszkę wódki!

W pokoju nagle robi się cicho. Iza i Oleńka mają głupie miny i zerkają na siebie niepewnie. Co z tym fantem począć? Uśmiech Małgosi staje się jeszcze bardziej pogardliwy. Chłopcy wyglądają trochę zażenowani. A w końcu Edek pierwszy przerywa milczenie: – a to ci heca! Jest pół litra, jest zagrycha! Brawo, Mira! Równa z ciebie babka – o wszystkim pomyślałaś! Przyda się kieliszeczek na rozkręcenie zabawy!

Chłopcy uśmiechają się, tylko Marek coś mruczy pod nosem, wyraźnie niezadowolony. Sytuacja jest jeszcze trochę naprężona, ale na szczęście znów odzywa się dzwonek, Oleńka biegnie otworzyć i po chwili wprowadza do pokoju Ziotkę. Drobna, szczupłutka, o bladej mizernej twarzyczce i dużych – trochę smutnych trochę wylękłych oczach, ubrana w skromną białą bluzeczkę i granatową plisowaną spódniczkę – robi wrażenie małej dziewczynki. Przeprasza obecnych za spóźnienie i nieśmiało kładzie na stole kilka paczek „katarzynek”.

– Nie wygłupiałabyś się! – szepce jej do ucha Oleńka – po jakie lichy forszę wydajesz? Wiem, że u twoich starych nie przelewa się.

A właściwie nikt naprawdę nie wie, jak to jest z tą Ziotką i dlaczego u niej w domu „nie przelewa się”. Bo podobno ojciec Ziotki jest zdolnym mechanikiem i powinien nieźle zarabiać. Krążą pogłoski, że siedział w więzieniu za kradzież, że pije. Ale czy to prawda? Ziotka nigdy nikomu w szkole nie opowiadała o sobie i swojej rodzinie, nigdy nikogo do siebie nie zapraszała i sama nigdzie nie bywa. Długo musiała Oleńka namawiać i prosić Ziotkę, że by przyszła do niej na dzisiejszą prywatkę. Bo Ziotka, w przeciwieństwie do Małgosi, jest lubiana w szkole za swoją uczynność i koleżeńskość. Zawsze pracowita i pilna, najlepsza uczennica w klasie, chętnie spieszy każdemu z pomocą. Żeby tylko nie była taka skryta i tajemnicza!

Jurek zakłada płytę. Rozbrzmiewa melodia modnego twista. Mira zrywa się z kanapy i pierwsza wyciąga ręce do Edka.

– Bezczelna! – myśli Iza – nawet nie zaczęła aż ją poprosi! Jurek pędzi

do swej lubej, jakby obawiał się, że ktoś mu ją zdmuchnie z przed nosa. Lucek usiłuje wyciągnąć z kąta Ziutkę, która broni się ze śmiechem: – daj spokój, ja źle tańczę, nie umiem! Ale Lucek stawia na swoim: – to nie konkurs tańca, każdy tańczy jak potrafi!

Do Izy podchodzi Marek: – zatańczymy? Iza jest trochę zła, bo liczyła na Edka. Marek, owszem, ładny chłopak – ma takie marzące oczy, ale straszliwie poważny i przez to trochę nudny. Ciągłe mówi o szkole, o maturze, o przyszłych studiach uniwersyteckich, albo rozwodzi się na temat literatury i przeczytanych książek. Nigdy nie szepnie miłego słówka w tańcu, nie ściśnie znacząco za rękę, nie usiłuje pocałować... Ale tańczy ładnie – trzeba przyznać.

Oleńka chwilowo została bez partnera i złości się. Na Mirę i na Edka. Po diabła sprowadził tę pannicę, która na uczniowską prywatkę przychodzi z kielbasą i wódą, jak na chłopskie wesele! Teraz ona będzie się bawić, a jedna z nas sprzedawać pietruszkę. Do licha! Jestem wszak gospodynią w tym lokalu i z mojej inicjatywy ta zabawa! Mam cały wieczór podpierać ścianę?

Nie, tak źle nie będzie. Bo oto Ziutka wyrwała się Luckowi: – stanowczo już nie tańczę! Nogi mi się płaczą i nic z tego nie wychodzi. Wolę siedzieć i obserwować was.

Więc Lucek prosi Oleńkę, która od razu rozpromienia się i odzyskuje humor.

Zabawa w całej pełni W przerwie między tańcami, Edek zaczyna otwierać butelki.

– Napijecie się po kieliszku wódki, dziewczynki?

Małgosia pogardliwie rusza ramionami i cedzi przez zęby: nie pije wódki, proszę o kieliszek wina. Iza i Oleńka wstydzą się przyznać, że też wódki nigdy nie piły, więc bąkają coś w rodzaju: „może potem, a na razie nie” i w końcu również proszą o wino. Ziutka na widok butelek nagle blednie

i gwałtownie macha rękami: – nie, nie, za nic na świecie! Ani wódki, ani wina! Nawet nie próbujcie namawiać! Dziwaczka!

Oleńka wyjmuje z kredensu kieliszki, Edek nalewa. W rezultacie wódkę piję tylko Mira i chłopcy z wyjątkiem Marka, który również odmawia kategorycznie i wypija wraz z dziewczętami kieliszek wina. – Maminsynek! – pokpiwa Edek – śmierć frajerom! Ale Marek pozostaje nieczuły na wszelkie docinki. W pokoju robi się coraz cieplej i coraz gwarniej. Mira zaciągnęła Izę na kanapę i ni stąd ni z owąd zaczyna zwierzenia: dobrze jest rozerwać się czasem, bo życie takie smutne! Ona, Mira jest bardzo niešťczęśliwa. Ma wprawdzie bogatego ojca na wysokim stanowisku, ale zupełnie opętanego przez macochę. Macocha nienawidzi Mirę, prześladowuje ją, nie pozwoliła kształcić się. Mira mogła zrobić karierę, bo grała w filmie dużą rolę i odniosła sukces. Ale i w tym wypadku macocha stanęła na przeszkodzie. Kazała pracować w biurze, zabiera wszystkie zarobione pieniądze.

– Słyszałam od Edka, że pani też chciałaby zagrać w filmie. Mam pewne znajomości w tych sferach i myślę, że będę mogła pani pomóc.

Iza od razu rozkrochmała się: poczciwa jednak ta Mira i taka w gruncie rzeczy biedna z tą złą macochą. Zaczyna dziękować, ale Mira lekceważąco macha ręką: – och, drobiazg, nie ma o czym mówić, chętnie to pani załatwię. Proszę mi dać swój adres. Iza podaje skwapliwie, a Mira zapisuje go w swoim notesiku i dwa razy podkreśla. – Nie zapomnę! – mówi z uśmiechem.

– Pani dawno zna Edka? – pyta Iza od niechcienia. Mira obojętnie rusza ramionami: - owszem, dość dawno. Edek – poczciwy chłopak, przyjaźnimy się nawet, ale nic ponadto. Pani rozumie – ja mam narzeczonego – pułkownik lotnictwa z Warszawy. Przyjeżdża często i wkrótce się pobierzemy.

Iza nabiera do Miry coraz większej sympatii. Więcej – Mira zaczyna jej imponować. Proszę, proszę! Narzeczonego pułkownika, artystka – grała w fil-

mie! To nie byle kto! A, że jest trochę zanadto swobodna i goli wódę jak chłop – widocznie to jest przyjęte w sferach artystycznych.

Nowa płyta. Tango. Tym razem Lucek porywa Mirę, a Edek obejmuje i mocno przytula do siebie Izę. – Cudna jesteś śliczna! Kocham cię! – szepce dotykając ustami jej włosów. Ale Izie nie sprawia to żadnej przyjemności. Kiedyś podczas wycieczki za miasto szeptał te same słowa, a nawet pocałował ją. Tylko, że wtedy był piękny jesienny, pachnący wrzosami dzień i Edek wyglądał prześlicznie – opalony na brąz w białej koszulce z wykładanym kołnierzem. Pamięta jak radośnie biło jej serce, jak chwilami zamierało w zachwycie, jak wydawało się jej, że naprawdę jest w tym chłopcu zakochana. A teraz ten sam Edek czerwony, spocony z nienaturalnie błyszczącymi oczami, cuchnący wódką, stał się dziewczynie kimś zupełnie obcym i... wstrętnym!

– Odsuń się, jesteś pijany – mówi niechętnie.

– Pijany tobą!

– A nie Mirą? – w jej głosie brzmiała ironia

– Ach, Mira! Cudna babka! Szałowa! Ale i tobie nic nie brakuje. Kocham was obie... Jestem jak motyl – z kwiatka na kwiatek... język mu się płacze coraz więcej.

– Idiota jesteś, a nie motyl! Puść mnie! – Iza jest nie na żarty zła.

Na szczęście płyta się skończyła. Edek urażony kłania się sztywno i odchodzi do Miry.

Wszyscy są już trochę zmęczeni. Chłopakom szumi w głowach i nikt nie spieszy się z założeniem nowej płyty. Edek tuli się do Miry i całuje ją w obnażony kark, a Mira śmieje się jakby ją ktoś łaskotał. Oleńka porozumiewawczo trąca Izę łokciem, ale Iza jest zgorszona i oburzona. Co za świntuch z Edka! A Mira, czy nie zachowuje się jednak zbyt swobodnie? I to mając narzeczonego!

Jurek, który dotąd wpatrywał się w Małgosię trochę mętnymi oczami za-

czyna bełkotać, że jest świetnym chiromantą i powróży jej z ręki. Wszyscy się śmieją, bo wiedzą, że to tylko pretekst, żeby potrzymać Małgosię za rączkę.

– Patrzcie! – woła nagle Ziotka, która zbliżyła się do gruchającej pary, żeby przypatrzeć się wróżbie – patrzcie jaki Małgosia ma cudny pierścionek!

Wszyscy śmieją się jeszcze głośniej, bo wiadomo przecież, że skromniutka, nie przywiązująca wagi do strojów Ziotka, ma jedną słabość – uwielbia wszelkie błyskotki. Najbardziej tandetna sztuczna biżuteria koleżanek wprawia ją w zachwyt. Ale tym razem nie przesadziła. Małgosia ma rzeczywiście na palcu prawdziwy złoty pierścionek z podłużnym szafirem w staroświeckiej oprawie.

– Dostałam od mamusi – oświadcza dziewczyna z dumą i wyciąga rękę, żeby wszyscy mogli dobrze obejrzeć klejnocik.

– Daj na chwilę! Daj przymierzyć! – błaga Ziotka z wypiekami na twarzy. Małgosia wspaniałomyślnie ściąga pierścionek z palca. Pierścionek krąży wśród obecnych, każdy ogląda go pod światło, przymierza. Nawet chłopcy podżartowując, usiłują wcisnąć go na mały palec.

– Dajcie i mnie przymierzyć! – krzyczy Oleńka, która nie może się dociśnąć – Czemu ja dziś stale mam być na szarym końcu?

– Jako gospodyni – śmieje się Edek i z ukłonem wręcza jej pierścionek: – służę pani!

Ale w tej chwili drzwi do kuchni uchylają się leciutko i w szparze ukazuje się mizerna twarz Kuleszowej. Oleńka rzuca na stół pierścionek i jak rozjuszona tygrysica jednym susem znajduje się przy drzwiach. – Czego mama tu? Przecież mówiłam...

– Nie wchodzę, córuchno, nie wchodzę. Chciałam tylko powiedzieć... Pomyślałam sobie, że może jesteście głodni... Zrobiłam trochę kanapek i herbatę ugotowałam...

Młodzież wydaje entuzjastyczny okrzyk: – niech żyje pani Kuleszowa! Bo właśnie herbata i kanapki są w tej chwili najbardziej potrzebne młodym zgłodniałym żołądkom, zapychanym cały wieczór słodyczami i skropionym alkoholem.

– No, dobrze już, może mama dać – pozwala łaskawie udobruchana Oleńka.

– Nie, nie – woła Marek, idziemy do kuchni, sami się obsłużymy!

Młodzież w świetnych humorach rusza do kuchni, śmiejąc się i dowcipkując. Chłopcy przerzucają przez rękę chustki do nosa, udając kelnerów. Pani Kuleszowa nalewa do szklanek gorącą herbatę i z łagodnym uśmiechem przygląda się rozbawionej gromadzie.

Po chwili wszyscy siedzą w pokoju przy stole i piją herbatę. Stos kanapek na półmisku znika błyskawicznie. Marek, pomimo protestów Oleńki, usiłuje wyciągnąć z kuchni Kuleszową, ale kobiecina wymawia się pilną robotą.

– Kanapki – palce lizać! – woła Lucek zapchanymi ustami.

– Owszem dobre – łaskawie przyznaje Małgosia, która w zasadzie nigdy nic nie chwali i niczym się nie zachwyca.. Wyciąga rękę do półmiska i – nagle zamiera z szeroko otwartymi oczami. – Co ci się stało? – pyta Jurek zaniepokojony.

– Mój pierścionek... Gdzie jest mój pierścionek?...

Rzeczywiście – na zgrabnym paluszku Małgosi nie połyskuje już podłużny szafir w staroświeckiej oprawie.

– Mierzyliście go, oglądali... Nie dostałam z powrotem...

– Co za głupie kawały! – krzyczy Jurek – kto ma pierścionek Małgosi?

– Ja nie mam!

– Ja też nie mam!

– Rzuciłam go na stół, gdy mama otworzyła drzwi – mówi zdenerwowana Oleńka – może stoczył się na podłogę?

– Szukajmy więc!

Wszyscy łążą po pokoju na czworakach, zagląдают w każdy kąt, w każdą szparę, ale pierścionek jak pod ziemię się zapadł. Małgosia cała trzęsie się ze zdenerwowania. Jej lalkowata, zwykle pozbawiona wyrazu twarzyczka, nie jest teraz obojętną maską. Malują się na niej gniew, rozpacz, zaciętość i upór.

– To nie był mój pierścionek – krzyczy histerycznie – to pierścionek mamusi! Wzięłam go bez pytania (– wyszło szydło z worka – mruczy pod nosem Iza) i ja go muszę mieć! Ukradziono mi go! Jest wśród nas złodziej!

– W ładne towarzystwo się dostałam – mówi arogancko Mira, podnosząc się z podłogi i otrzepując sukienkę – gdyby mój narzeczony się dowiedział... Chodź, Edek, odprowadzisz mnie do domu. Nie żegnając się z nikim idzie do drzwi, ale Oleńka wyprzedza ją i przekręca klucz w zamku.

– Bardzo przepraszam! W moim domu stała się rzecz niezrozumiała: prawie na naszych oczach zginęła wartościowa rzecz. Rzucono na nas wszystkich ciężkie oskarżenie. Więc zapowiadam, że nikt nie wyjdzie z tego pokoju, dopóki pierścionek Małgosi nie znajdzie się, choćby przyszło nam przesiedzieć całą noc i cały jutrzejszy dzień.

– Świetnie! Przynajmniej jutro nie pójdziemy do budy – usiłuje dowcipkować Edek, ale dowcip przechodzi tym razem bez echa.

Ziutka rzuca się do Oleńki: – Oleńko, to niemożliwe! Ja muszę być w domu najdalej za godzinę

Oleńka potrząsa głową: – nikt nie wyjdzie stąd, aż pierścionek się znajdzie. Czas teraz płynie bardzo powoli. W pokoju wisi nieprzyjemna, naładowana napięciem i przygnębieniem cisza. Nie słyhać śmiechu i rozmów. Edek wprawdzie proponuje potańczyć „dla zabicia czasu”, ale nikt nie ma humoru i chęci do zabawy.

Oleńka krąży po pokoju, chodzi z kąta w kąt, zagląda pod kanapę, odsuwa meble – łudzi się jeszcze, że pierścionek gdzieś leży, że przeoczono go przy poprzednich poszukiwaniach.

Iza siedzi zrezygnowana i myśli o matce, która z pewnością zacznie się niepokoić przedłużającą się nieobecnością córki. Cóż to będzie za chryja, jeżeli nie wróci do rana!

Mira z obrażoną miną pali jednego papierosa za drugim.

Jurek pociesza pochlipującą w kącie Małgosię.

Marek stoi przy oknie chmurny jak noc i uważnie przygląda się po kolei wszystkim obecnym.

– Wyglądasz jak detektyw z kryminalnej powieści – dogaduje Edek – bo też i sytuacja jest jak u Agaty Chrystie!

Tylko Lucek melancholijnie dojada resztę kanapek z półmiska. On jeden jeszcze nie stracił apetytu.

Najwięcej zdenerwowania i niepokoju okazuje Ziućka. Kręci się na krześle, wyłamuje palce, spogląda co chwila na ścienny zegar, wreszcie nie wytrzyma i zrywa się z miejsca.

– Oleńko, błagam cię – otwórz drzwi, puść mnie! Ja muszę już iść, muszę!

Mira też wstaje: – rzeczywiście, dość tej komedii – to do niczego nie prowadzi. Nie mam zamiaru siedzieć tu całą wieczność.

– Dobrze – mówi Oleńka – wobec tego nie pozostaje nic innego jak przeprowadzić rewizję. Małgosia zrewiduje nas, a Jurek jako najmniej podejrzany, bo nie wyobrażam sobie, żeby mógł okraść właśnie Małgosię, obszuka chłopców. Dla porządku, któryś z chłopaków później zrewiduje Jurka.

– A może wyznaczysz mnie do rewidowania dziewcząt? Pasjami lubię takie zajęcia – błaznuje niepoprawny Edek, ale nikt nie zważa na niego, wszyscy są mocno poruszeni decyzją Oleńki.

– To skandal! Ja protestuję! – woła Mira z wypiekami na twarzy, a Ziućka wybucha płaczem: – Nie, Oleńko, nie! Nie wolno tego robić! To ohydne!

– To jest wielka przykrość dla każdego z nas – mówi Marek twardo – ale zdaje się, że naprawdę nie ma innego wyjścia.

Wobec tego przegradzają pokój, ustawiając szeregiem krzesła jedno na drugim i zarzucając na nie przyniesione z przedpokoju płaszcze. Po jednej stronie zaimprovizowanego parawanu ustawiają się do rewizji chłopcy, po drugiej dziewczęta. Rewizja jest dokładna i szczegółowa. Jurek chce przysłużyć się Małgosi więc nie oszczędza kolegów. Małgosia z zaciętymi ustami i chmurną twarzą rewiduje szorstko, gniewnie, prawie brutalnie. Pomimo to, pierścionka nie ma. Gdzie więc dalej szukać?

– Może w płaszczech? – bąka Jurek niepewnie. Małgosia rzuca się do bezładnie spiętrzonych na krzesłach okryć i gorączkowo przeszukuje kieszenie. Nagle wydaje tryumfalny okrzyk: – jest! W podniesionej ręce błyszczy podłużny szafir. W pokoju zawrzało jak w ulu. – Czyj to płaszcz? Czyj? I przerażony, drżący, nabrzmiały szlochom głos Ziućki: – mój!

Robi się bardzo cicho. Ziućka?! Skryta, tajemnicza, rozkochana w błyskotkach Ziućka, o której nikt nic bliższego nie wie. Córka człowieka skazanego swego czasu za kradzieże... Więc to tak?

A ona szlocha głośno, rozpaczliwie: – to nie ja! To nie ja! Nie ukradłam, przysięgam na wszystko, nie ukradłam! Nie wiem skąd się wziął w mojej kieszeni, ale to nie ja! Uwierzcie mi, uwierzcie!

A jednak nikt nie wierzy. Przecież tyle okoliczności ją obciąża: namiętność do błyskotek i to, że pierwsza zwróciła uwagę na pierścionek Małgosi, prosiła, by dała przymierzyć. A potem jej zdenerwowanie, wyrywanie się do domu, gwałtowny protest przeciw rewizji. I w końcu pierścionek znaleziony w kieszeni właśnie jay płaszcza. Czy to nie dość?

– Ty, ty... złodziejka! – Małgosia z wykrzywioną wściekłością twarzą zbliża się do szlochającej dziewczyny, ale Marek zastępuje jej drogę: – Małgosiu, milcz! Odejdź! Coś takiego jest w jego spojrzeniu, że Małgosia potulnie milknie i odchodzi.

– No, chyba możemy teraz iść do domu? Przedstawienie skończone! Mira wzgardliwie uśmiechnięta zaczyna się ubierać. Wszyscy idą za jej przy-

kładem. Do Ziutki nikt nie odzywa się, nikt jej po prostu nie widzi. Wychożą całą gromadą, ale Ziutka nie ma odwagi przyłączyć się do koleżanek, nikt ją zresztą do tego nie zachęca. Na ulicy drogi się rozchodzą, wszyscy zatrzymują się, żegnają, tworzą się pary. Edek bierze pod rękę Mirę i szybko odchodzą, Jurek jak zwykle, towarzyszy Małgosi. Iza z Luckiem i Markiem idą w jednym kierunku. Ziutka, drobna, skulona, ze spuszczoną głową, odchodzi sama w pustą ciemną ulicę. Na jej nieśmiałe „do widzenia”, nabrzmiałe łzami, nikt nie odpowiada.

Marek nagle zatrzymuje się: – Lucek, odprowadzisz Izę do domu. Ja idę w innym kierunku. Cześć! Oddała się szybkim krokiem, a po chwili widzą, jak biegnie tą samą ulicą, którą odeszła Ziutka.

Część III

– Jakaś panna do ciebie – mówi pani Helena, wchodząc do pokoiku, który Iza zajmuje wraz z bratem. W tej chwili jest sama (Leszek poszedł do kolegi) i usiłuje skupić się nad podręcznikiem fizyki, ale nie bardzo jej się udaje.

Od kilku dni, od tej fatalnej prywatki, nie może pozbyć się uczucia rozczarowania i niesmaku. W klasie wytworzyła się przykra, ciężka atmosfera. Jakimś cudem (bo przecież przyrzekły sobie nie rozgłaszać tego) historia z pierścionkiem przestała być tajemnicą. Prawdopodobnie Małgosia nie mogła utrzymać języka za zębami. Jeszcze jedna próba zaimponowania koleżankom niecodziennym wydarzeniem, którego bohaterką stała się mimo woli. Wokół Ziutki wytworzyła się pustka. Marysia Miroszówna, jej sąsiadka w ławce, demonstracyjnie przesiadła się do innej. Ziutka pozostała sama: zacięta, milcząca, blada. Nie płacze już jak owego wieczora, nie próbuje się bronić, tłumaczyć, nawiązać kontakt z koleżankami. Przyjmuje bojkot klasy z hardo podniesioną głową, z kamienną twarzą, w której gorą-

czkowym, złym blaskiem, płoną duże chmurne oczy.

Oprócz nieprzyjemnej sytuacji w klasie i zawodu sprawionego przez lubianą dotąd koleżankę, ma jeszcze Iza swoje osobiste małe rozczarowanie. Edek... Zawsze uważała go za „swego” chłopca, no cóż – może nawet kochała się w nim trochę. Przecież ten pocałunek na wycieczce nieraz wspominała z dreszczykiem wzruszenia i czułości. Ale to był inny Edek – trochę urwisowaty, trochę lekkomyślny, czasem cyniczny i zblazowany, jednak pełen wdzięku. A ten, którego ujrzała na prywatce, ścisnął Mirę po kątach, a jednocześnie do niej – Izy, przyklejał się w tańcu, plótł głupstwa i tak obrzydliwie cuchnął wódką! Nie, Edek już przekreślił siebie, nie istnieje dla Izy. A, szkoda! Dobrze było i przyjemnie pomarzyć o nim czasem.

Iza potrząsa głową, jakby chciała odpędzić od siebie przykre myśli i trochę nieprzytomnymi jeszcze oczami patrzy na matkę.

– Kto przyszedł? Jaka panna?

– Nie wiem. Nigdy tu nie przychodziła. To na pewno żadna z twoich koleżanek. Taka jakaś... wymalowana... Nie podoba mi się. Czeka w stołowym. Iza zaintrygowana uchyla drzwi: w pokoju na krześle siedzi Mira i pali papierosa. W pierwszej chwili Iza jej nie poznała, bo Mira z rudej przeistoczyła się w platynową blondynkę. Iza jest wyraźnie zaskoczona wizytą.

– A! to pani! – mówi wreszcie – proszę! – i wprowadza ją do swego pokoju.

Pani Helena ulatnia się dyskretnie. Dziewczęta zostają same.

– Sympatyczne mieszkanko – oświadcza Mira protekcyjnym tonem.

– Nasze jest wprawdzie o wiele większe, elegancko, nowocześnie umeblowane, ale ja wolę takie małe pokoiki i skromne stare mebelki – wyglądają przytulniej. Iza nie wie, co na to odpowiedzieć. Trochę wstydzi się skromnego urządzenia mieszkania. Ale Mira już trzepie dalej: bardzo nieprzyjemnie zakończyła się prywatka, na której poznałyśmy się. Proszę mi

wierzyć – całą noc nie spałam, tak bardzo byłam zdenerwowana. Jak ta Ziotka mogła! Okraść koleżankę – okropne! Ludzie nie mają sumienia! Musicie bardzo uważać, mając w swoim gronie taką osobę. Ale dość już o tych przykrych sprawach. Właściwie przyszłam, aby pani powiedzieć, że wywiązałam się z przyrzeczenia. Właśnie dziś przyjechał z Warszawy mój dobry znajomy i znana figura w sferach filmowych. Wisłocki... Wiktor Wisłocki... Pani z pewnością o nim słyszała? – Niestety – Iza jest zawstydzona, że nigdy nic nie słyszała o Wisłockim.

– Nie? – dziwi się Mira – ależ to człowiek znany, który nakręcił kilka świetnych filmów. Od niego wszystko zależy. Jeżeli mu się pani spodoba – kariera zapewniona. Właśnie teraz kręci nowy film i potrzebna mu młoda, ładna dziewczyna do głównej roli. Błagał mnie: Miro, jesteś stworzona na moją bohaterkę, weź tę rolę – zrobisz majątek! Ale cóż – pani wie – moja macocha nigdy się na to nie zgodzi. Zresztą pułkownik – mój narzeczony też jest przeciwny. Pani rozumie – zazdrość!

Iza słucha z wypiekami na twarzy. Serce tłucze się w radosnym podnieceniu. Czyżby miały ziścić się marzenia? Czyżby wreszcie przyszła ta jedyna, niepowtarzalna w życiu szansa?!

– Pani myśli, że on mnie zaangażuje? – pytam z zapartym tchem.

– Z pewnością! Bardzo gorąco mu panią poleciłam, a moje słowo coś u niego znaczy. Reszty dokona pani sama. Może umówimy się jutro o 6-tej w „Zacisznej”? Przyjdę tam z panem Wisłockim, przedstawię go pani i przy kawie pogadacie sobie o wszystkim.

– Nie wiem jak pani dziękować! – Iza mocno ściska rękę Miry.

– Nie ma o czym mówić – drobiazg! Od pierwszej chwili poczułam do pani ogromną sympatię. Zresztą lubię pomóc ludziom. Taka już jestem. Wyjmuję z torebki puderniczkę i szminkę do ust. Długo, starannie maluje się przed lustrem i poprawia włosy.

– No, czas na mnie. Więc do jutra. Proszę nie zapomnieć – o szóstej

w „Zacisznej”.

Iza potakuje z zachwytem. Nie! To zupełnie jak w bajce! Ciekawe, co teraz powie mama, co powiedzą koleżanki, ci wszyscy, którzy pokpiwali z jej marzeń!

Mira robi kilka kroków do drzwi i nagle zatrzymuje się: – aha, byłabym zapomniała! Mam do pani małą prośbę. Czy mogłaby mi pani wyświadczyć drobną przysługę?

– Ależ oczywiście! O co chodzi?

– Właściwie głupia historia. Razem z Wisłockim przyjechał z Warszawy mój narzeczony – pułkownik i chce mnie dziś wieczorem zabrać do teatru. A moja macocha (złośliwa baba!) schowała i zamknęła u siebie wszystkie moje sukienki. Nie mam formalnie w czym iść. Czy nie mogłaby mi pani pożyczyć na jeden wieczór tę niebieską, w której była pani na prywatce. Mamy prawie jednakowe figury.

– Ależ naturalnie! Bardzo chętnie! – Iza rzuca się do szafy i grzebie w sukienkach. Właściwie nie ma ich zbyt wiele, a niebieską szczególnie lubi i nigdy nie pożyczyłaby nikomu. Ale czy może odmówić Mirze, która toruje jej drogę do filmu?

– Proszę!

– Dziękuję serdecznie! Jutro przyniosę do „Zacisznej”. Albo nie – nie mogę panią obarczać pakunkami. Pojutrze odniosę do domu, bo jutro będę bardzo zajęta. – Mira starannie zawija sukienkę i odchodzi, darząc Izę na pożegnanie najmiłszym uśmiechem.

— • — • — • —

Dopiero przy kolacji pani Helena pyta: – co to za dziewczyna była u ciebie? Skąd ją znasz?

– Poznałam na prywatce u Oleńki. – Iza ani słowem nie wspomniała w domu o niemiłym incydencie tamtego wieczoru. Pani Helena zdążyła tylko zauważyć, że córka wróciła mocno skwaszona i wszystkie te dni była

bez humoru.

– Czy to znajoma Oleńki?

– Tak... to jest, nie, – nie znały się przedtem. Edek... jeden chłopak z męskiego ogólniaka przyprowadził ją.

– Ona też chodzi do jakiejś szkoły?

– Nie, pracuje w biurze, wybiera się za męża. Ma narzeczonego – pułkownika lotnictwa z Warszawy.

– Hm... Nie wygląda na to. Robi wrażenie dość wulgarnej. Taki „kociak” w najlichszym wydaniu.

– Masz staroświecki pogląd na życie i ludzi – oburza się Iza.

– Mira jest zupełnie przyzwoitą nowoczesną babką. Całkiem na miejscu!

– Na moment staje jej przed oczami przyniesiona przez Mirę wódka i ściskanie się po kątach z Edkiem, ale zaraz odpędza przykre wspomnienia.

– Szałowa! – dodaje z zapałem.

– I czegoś chciała od ciebie ta „szałowa babka”?

Krótką chwilą zastanowienia: powiedzieć o Wisłockim, o jutrzejszym spotkaniu? Nie, nie! Matka nigdy nie brała poważnie rojeń Izy o karierze gwiazdy. Znów rzuci kilka sceptycznych uwag, wyśmieje, może zabroni nawet pójść jutro do „Zacisznej”? Zwłaszcza, że jest do Miry uprzedzona. Lepiej poczekać, aż będzie się miało kontrakt w kieszeni. Dopiero mama zrobi oczy! O sukience jednak trzeba powiedzieć, bo a nuż zechce jutro porządkować w szafach i zauważy brak nowej sukienki. Przecież Mira przyrzekła odnieść dopiero pojutrze.

– Prosiła mnie o pożyczenie niebieskiej sukienki na dzisiejszy wieczór – mówi niedbale – bo idzie z narzeczoną do teatru.

– Coś takiego! Ta twoja Mira ma tupet! Ledwo cię poznała i już przychodzi na pożyczki. Czy nie ma własnych sukienek?

– Całe mnóstwo! – wykrzykuje Iza z takim zapałem, jakby dokładnie znała stan garderoby Miry. – To zamożna dziewczyna, ale macochę ma podłą –

wszystko trzyma u siebie pod kluczem.

– Czy bajeczki o złych macochach są dla ciebie mniej staroświeckie niż moje poglądy na ludzi? – pyta pani Helena ironicznie i dodaje po chwili:

– mam nadzieję, że jej odmówiłaś.

– Przeciwnie – pożyczyłam! – głos Izy brzmi wyzywająco.

– Pożyczyłaś? – pani Helena jest bardziej zdumiona niż oburzona – przecież zawsze twierdziłaś, że ani sama nigdy nie nałożyłabyś cudzej sukienki, ani nie zniosłabyś, żeby ktoś wkładał twoją. Mówiłaś, że się brzydzisz.

– Nie mogłam odmówić, nie wypadało

– Ona tylko w domu z nami taka pyskata – wtrąca się Leszek – przy obcych jest jak trusia.

Iza aż się czerwieni ze złości, bo wie, że Leszek tym razem ma słuszość. W domu bywa wyniosła, pewna siebie, chwilami nawet arogancka. Wobec obcych – raczej nieśmiała, trochę skrępowana i przesadnie ugrzeczniona.

– Nie odzywaj się, smarkaczu, gdy starsi rozmawiają – krzyczy na Leszka, który wykrzywia się w odpowiedzi.

Pani Helena jest tak przejęta wiadomością o pożyczeniu nowej najlepszej sukienki, że nawet nie zwraca uwagi, na kłótnię między rodzeństwem.

– Znasz przynajmniej nazwisko tej Miry, jej adres?

Iza jest zmieszana: – n... nie...

– No, to się pożegnaj z sukienką, będziesz ją widziała jak swoje uszy bez lustra! – pani Helena zdenerwowana wstaje od stołu. – Dziwie się, że dotąd jesteś tak naiwna i dajesz się nabierać. W każdym razie nie męcz mnie o nową sukienkę, bo ja nie mam pieniędzy na wyrzucenie.

– Czemu zaraz robisz tragedię – Iza jest bliska płaczu – zobaczysz, sama się przekonasz, jak dobrze wszystko się ułoży i ja jeszcze na tym skorzystam. Zresztą jeżeli chodzi o jej adres i nazwisko – Edek na pewno będzie wiedział, bo to jego dobra znajoma.

Pani Helena macha ręką z rezygnacją i wychodzi do kuchni.



Na drugi dzień od samego rana Iza jest radośnie podniecona. Dziś rozstrzygnie się jej los. Dziś pozna Wisłockiego, może podpisze kontrakt. Wielki dzień!

W klasie nie może usiedzieć spokojnie. Godziny ciągną się żółtym krokiem. Na lekcjach jest zupełnie nieprzytomna, na pauzach milcząca i tajemnicza jak sfinks.

– Co ci jest? – pyta Oleńka – jesteś dzisiaj jakaś dziwna.

Iza ma ogromną chęć zwierzyć się przyjaciółce, ale boi się „zapeszyć” los. Przewycięża więc pokusę i tylko uśmiecha się zagadkowo. – Dowiesz się wkrótce... Może jutro... Do domu wraca tramwajem. Ostatnio jeździ na stojąco, nie chce znowu narazić się na przykre docinki współpasażerów, tym razem jednak zajmuje miejsce siedzące. Przecież, do licha, jest już prawie artystką! Na jednym z przystanków do tramwaju wchodzi starszy elegancki pan, o mocno siwiejących skroniach, w towarzystwie drugiego – znacznie młodszego. Przybyli ustawiają się naprzeciw Izy, a starszy zaczyna ją świdrować spojrzeniem. Od czasu do czasu szeptem wymienia z młodszym uwagi i wskazuje oczami dziewczynę.

– Czego znów ten idiota się przyczepił? – złości się w duchu Iza – gapi się bez przerwy i coś na mój temat plotkuje. Nagle starszy pan zdecydowanym krokiem zbliża się do Izy.

– No, oczywiście! Przeszkadza mu, że siedzę! – i chcąc nie dopuścić do jakiejś przykrej uwagi, Iza wstaje pośpiesznie i z grzecznym uśmiechem zwraca się do nieznanego: – proszę, niech pan siada.

Starszy pan ma minę zaskoczoną i trochę głupią, a młodszy wybucha głośnym śmiechem: – dobrze ci tak, stary podrywaczu! Z miejsca zostałeś załatwiony odmownie! Młode dziewczęta mają jedynie szacunek do twoich siwych włosów!

Przeciskając się na platformę, Iza słyszy jak starszy pan mruczy coś

w rodzaju „głupia gęś”.

– Tym starym prykom niewiadomo jak dogodzić – myśli ze złością: Nie ustąpisz miejsce – źle, ustąpisz, też niedobrze.

— • — • — • —

Punktualnie o godzinie szóstej Iza starannie, choć skromnie ubrana i uczesana, przestępuje próg małej kawiarenki „Zaciszna”. Ma szaloną tremę, bo przecież ważą się jej losy. Nie może też wyzbyć się niepokoju: a nuż Mira rzeczywiście nabrała ją i wymyśliła bajeczkę o Wisłockim, żeby wyłudzić sukienkę? Nie, to niemożliwe! Przecież zna dobrze Edka, jest narzeczoną pułkownika, nie mogłaby się tak skompromitować! Wisłocki istnieje, tylko nie wiadomo czy udało się Mirze naprawdę zainteresować go osobą Izy. Czy przyjdzie dziś do kawiarni? Taki reżyser ma całą masę spraw na głowie, może nie będzie miał czasu dla nieznajomej dziewczyny.

Zdenerwowana, trochę onieśmielona, rozgląda się po prawie pustej sali. Są, są! Siedzą przy stoliku pochłonięci rozmową, ale na widok Izy, Mira zrywa się z krzesła i z uśmiechem kiwa do niej ręką.

Iza zbliża się do stolika zupełnie nieprzytomna ze szczęścia.

– Proszę, poznajcie się! – mówi Mira wesoło: – reżyser filmowy pan Wisłocki, a to panna Iza, o której ci tyle opowiadałam.

Iza jest olśniona: ach, ta Mira! Na ty, z taką osobistością! Jakże śmieszne wydają się dziewczynie wszystkie zastrzeżenia i obawy matki!

Wisłocki wstaje i kłania się trochę sztywno. Jest to rudawy blondyn, średniego wzrostu o pospolitej twarzy i niespokojnych rozbieganych oczach.

– Z pewnością bardzo nerwowy – myśli Iza – cóż dziwnego – przy takiej pracy!

– Nie przesadziłaś, Miro! Twarz panny Izy, cała postać, są stworzone do ekranu. Będzie wymarzoną bohaterką do nowego filmu. Jestem oczarowany!

Przed Izą otwiera się siódme niebo. Ach, życie czasem może stać się bajką!

– Widzisz, widzisz – śmieje się Mira – a nie mówiłam, że się od razu zapalisz. A teraz, skoro poznaliście się, pogadajcie sobie spokojnie. Ja się ulatniam, bo mam randkę z narzeczoną. Cześć! Jutro będę u pani, pani Izo, tak jak obiecałam – podkreśla znacząco.

Ach, ta mama! I jak ona wygląda teraz ze swoimi uprzedzeniami? – myśli Iza żegnając Mirę serdecznie.

– Pani pozwoli filiżaneczkę kawy? – Wisłocki przywołuje kelnerkę i zamawia dwie czarne. Potem zapala papierosa.

– Przystąpmy więc do właściwej sprawy – zaczyna rzeczowym tonem – przyjechałem na parę dni dla załatwienia pewnych interesów. Chciałem też rozejrzeć się za bohaterką do swego nowego filmu „Miłość i dziewczyna”. Czasem na prowincji łatwiej trafić na odpowiedni typ. Początkowo myślałem o Mirze, ale z nią trudno dojść do ładu: macocha, narzeczoną – tyle przeszkód – pani rozumie? Mam nadzieję, że pani nie ma narzeczonego? – pyta żartobliwie.

– N... nie – jąka Iza zmieszana.

– No, to świetnie! Więc aby nie tracić cennego czasu – krótko węzłowato: jestem skłonny zaangażować panią do tej roli.

Izie kręci się w głowie: ależ to amerykańskie tempo! Co powie mama? Czy nie zacznie robić trudności? Jak będzie ze szkołą? Ach, wszystko jedno! Niech się dzieje co chce – taka okazja nie powtórzy się więcej!

– Mogę w tej chwili podpisać kontrakt – mówi zdecydowanie.

Wisłocki śmieje się serdecznie: – widzę, że pani w gorącej wodzie kąpana, zresztą podoba mi się ten zapach. Ale kontrakt podpisze pani w Warszawie po próbnym zdjęciach, po rozmowie z kilkoma osobami, które również mają coś do powiedzenia w tej sprawie.

– Wiec to jeszcze nic pewnego? – w głosie Izy brzmi zawód.

– Zupełnie pewne! – uspakaja Wisłocki. – Proszę mi zaufać, mam decydujący głos i twierdzę, że pani będzie zaangażowana. Reszta – zwykła for-

malność, Chodzi tylko o to... – robi krótką pauzę, jakby się namyślał, potem przysuwa się do Izy, poufałym gestem nakrywa dłonią jej rękę i pyta cicho, przyjacielsko: – proszę mi powiedzieć, ale tak szczerze, z całym zaufaniem, jak wyglądają pani sprawy finansowe? Czy pani rozporządza jakąś gotówką?

Iza jest zmieszana: – nie, skądże! Uczę się jeszcze. Ojca nie mam od dawna... Mama pracuje w biurze i niewiele zarabia.

Wisłocki kręci głową zmartwiony: – to niedobrze... To trochę komplikuje sprawę...

– Dlaczego? – niepokoi się Iza: – po podpisaniu kontraktu dostanę chyba jakąś zaliczkę?

– A do tego czasu? Niech pani pomyśli: podróż do Warszawy, okres próbnych zdjęć – trzeba gdzieś mieszkać, trzeba jeść... Chyba, że ma pani w Warszawie krewnych albo znajomych.

– Nie mam nikogo.

– No, widzi pani! Życie w Warszawie jest drogie. Poza tym, do wytwórni musi pani zgłosić się bardzo elegancko ubrana. Tam na te rzeczy patrzą, to robi wrażenie, to nieraz decyduje. Skromnie licząc – jadąc do Warszawy musi pani mieć parę tysięcy w gotówce.

– Parę tysięcy? – Iza jest zupełnie załamana: - to niemożliwe! Skąd wezmę tyle pieniędzy?

– Nie może pani gdzieś pożyczyć?

– Niestety, nie znam nikogo, kto mógłby mnie pożyczyć taką sumę.

– To fatalne! Chętnie bym pani pomógł, wypłacając zaliczkę z własnej kieszeni, ale w tej chwili moje kapitały są zamrożone. Nie rozporządzam większą gotówką.

– Więc co robić?! – Iza jest w rozpacz. Dla marnych paru tysięcy cała jej kariera weźmie w łeb! A szczęście było już tak blisko!

Wisłocki siedzi zaszepcony i coś kombinuje. Nagle podnosi głowę, uśmiecha

się, uderza dłonią w blat stolika. – Mam! Mam myśl! Że też od razu mi to nie przyszło do głowy! Nosek do góry panno Izo! Wszystko będzie dobrze! Iza patrzy na niego z nadzieją i zaciekawieniem.

– Mam tu dobrego znajomego – starszy, bardzo zamożny pan, ale trochę dziwak. Jego hobby – to popieranie młodych talentów. Zwrócimy się do niego o pożyczkę i sprawa załatwiona.

– Ależ ja go nie znam... Z jakiej racji miałby pożyczyć?... I czy to wypada?

– Mówię pani, że jego pasją czy dziwactwem, nie wiem jak to nazwać, są młode początkujące talenty. Nigdy nie odmawia pomocy utalentowanym adeptom sztuki. Ja sam z nim zresztą porozmawiam, przedstawię sprawę, poręcę za panią, bo przecież pani mu te pieniądze zwróci.

– No, oczywiście!

– Całą sprawę biorę na siebie, pani mu tylko podziękuj, powie kilka miłych słów... Staruszek zupełnie się rozplynie. Spojrzał na zegarek.

– Kujmy żelazo póki gorące. Ja jutro wracam do Warszawy i chcę wyjechać z czymś konkretnym. Zapowiedzieć w Wytwórni przybycie pani, zamówić pokój w hotelu, odpowiednie toalety i tak dalej. Nie ma czasu do stracenia. Bierzemy taksówkę i jedziemy. – Zadzwoił łyżeczką na kelnerkę.

– Jedziemy? Dokąd?

– Do jednej bardzo przyjemnej pani – mojej znajomej. Ona dziś urządza małe przyjęcie dla artystów i wiem z całą pewnością, że nasz mecenas też tam będzie. Odrazu ubijemy sprawę.

– Ależ ja nie wiem, czy to wypada, zresztą nic nie powiedziałam w domu.

– Panno Izo! Albo pani chce zostać artystką, albo nie. Mój czas jest naprawdę cenny. – W głosie Wisłockiego wyczuwa się wyraźne zniecierpliwienie. Nie, nie wolno go zniechęcić! Za wszelką cenę, nawet za cenę trochę głupiej sytuacji, trzeba dążyć do celu. Inaczej straci się jedyną szansę. Iza już nie protestuje i posłusznie wychodzi z Wisłockim.



„Przyjemna pani”, znajoma Wisłockiego, która przywitała ich w przedpokoju, od pierwszego wejrzenia nie podoba się Izie. Jest to niemłoda już, bardzo tęga osoba, rażąco wymalowana, o ufarbowano na kruczo-czarny kolor włosach. W słodkim, zbyt słodkim uśmiechu, ukazuje piękny garnitur sztucznych zębów. Ale trzeba przyznać, że wita Izę bardzo uprzejmie, jakby wcale nie była zaskoczona wizytą nieznanym dziewczyny. A w uważnym, taksującym spojrzeniu, którym mierzy Izę od stóp do głowy, wyraźnie widać uznanie i aprobatę. Może już coś słyszała o pogoni Wisłockiego za nową gwiazdą i domyśla się, że Iza nią będzie. Z Wisłockim wita się jak z dobrym starym znajomym i z najśladszym uśmiechem zaprasza gości do „salonu”.

W salonie znajduje się już kilka osób. Przy pianinie jakiś blady, mizerny młodzieniec z bardzo znudzoną miną, wali w klawisze. Dwie mocno przytulone do siebie pary tańczą tango. Reszta towarzystwa rozproszyła się po całym pokoju. Większość siedzi przy stolikach, zastawionych kieliszkami i butelkami.

– Jak w knajpie! – myśli Iza. Spostrzega, że mężczyźni są już nie pierwszej młodości, natomiast kobiety bardzo młode, mocno umalowane i wydekoltowane jak na bal. Prawie każdy z panów ma swoją partnerkę, z którą flirtuje zawzięcie nie zwracając uwagi na resztę towarzystwa. W sąsiednim pokoju słychać chichoty i brzęk kieliszków.

Wejście Izy nie przeszło bez wrażenia. Jej porządna, ale skromnie zapięta pod szyję sukienka, naturalny kolor popielatych włosów i nieumalowana buzia, zanadto odbijają się od otoczenia. Mężczyźni patrzą na nią z ciekawością, kobiety – trochę ironicznie. Izie jest przykro, że tak nie pasuje do ogólnego tła, więc uzbiera się w minę dumną i wyniosłą. Niech nie myślą, że mają do czynienia z byle kim!

Dziwi ją trochę, że pani domu gdzieś znika nie dokonując żadnej prezen-

tacji. Wisłocki szeptem Izie do ucha: – jest nasz mecenas, muszę z nim pogadać – potem biegnie do jednego z panów, który samotnie stoi przy pianinie, przeglądając nuty. Dziewczyna widzi jak Wisłocki wita się z „mecenaszem”, gnie się przed nim w ukłonach, potem coś opowiada po cichu, wskazując oczami Izę, w końcu odchodzi z nim w najdalszy kąt salonu. Izie jest głupio i nieprzyjemnie, zaczyna żałować, że tu przyszła. Co za sytuacja! Stoi teraz sama pod ścianą jak żebraczka i czeka zmiłowania, aż jakiś nieznajomy stary piernik zechce łaskawie pożyczyć jej parę tysięcy na wyjazd do Warszawy. A jeżeli odmówi? Dopiero będzie się czuła jakby jej kto w pysk dał. A odmówi na pewno!

Nie, to nie do uwierzenia! Iza widzi jak „mecenas” wyciąga z kieszeni portfel, coś z niego wyjmuje i wciska w rękę Wisłockiemu. Więc nie odmówił! Wyjazd do Warszawy zapewniony! Nie ma żadnych przeszkód!

Wisłocki wraca do Izy rozpromieniony: – wszystko poszło jak po maśle! Gotóweczka tu – klepie się po kieszeni. – Będę pani kasjerem, panno Izo, jutro jeszcze przed moim wyjazdem spotkamy się i obliczymy ile pani będzie potrzebowała na podróż i drobne wydatki przedwyjazdowe. Za resztę zapewnię pani pokój z całkowitym utrzymaniem w jakimś porządnym hotelu i zamówię potrzebne toalety. Może pani być spokojna – znam się na tych rzeczach, wiem, czego potrzebuje artystka i piękna kobieta.

– Ale... miara... – oponuje słabo Iza.

– Przyniesie mnie pani jutro do „Zacisznej” swoje wymiary. Zresztą zastrzegę w domach mody prawo zamiany. Wszystko będzie o key! Niech się pani nie boi. A teraz, panno Izo, przedstawię pani „mecenasa”, proszę mu ładnie podziękować.

Wisłocki odchodzi i po chwili wraca, prowadząc tęgiego, łysawego pana: – panno Izo, oto człowiek, który od tej chwili bierze panią pod swoją opiekę. – Łysy pan bąka niewyraźnie pod nosem jakieś nazwisko i długo przytrzymuje w pulchnej dłoni palce dziewczyny.

– Bardzo jestem panu wdzięczna – Iza sili się na uśmiech, zmieszana i zaczerwieniona. „Mecenas” przypatruje się jej z upodobaniem: – cieszę się ogromnie, że mam możliwość dopomóc pani do życiowego startu.

– Postaram się w najkrótszym czasie zwrócić pożyczkę – zapewnia Iza żarliwie. „Mecenas” śmieje się jakoś głupawo i lekceważąco macha ręką: – dobrze, dobrze, nie ma o czym mówić. Może tytułem rewanżu zechce pani zjeść ze mną kolację? Nasza szanowna gospodyni przygotowała w sąsiednim pokoju bardzo apetyczne zakąski. Będziemy mogli posilić się i porozmawiać w cztery oczy o pani przyszłości. Mówię – w cztery oczy, bo pan Wisłocki ma inne sprawy do załatwienia

Iza nie wie co odpowiedzieć. Jakie to wszystko dziwne! Kolacja we dwójkę bez pani domu? A inni goście? Dziwny dom, dziwne zwyczaje!

– Podziękuję i odmówię! – postanawia. Ale w tej chwili Wisłocki wykrzykuje z zapalem: – oczywiście, że panna Iza się zgadza, a ja tymczasem załatwię coś z naszą gospodynią.

– Chwileczkę! Mam do pana też mały interesik. Właściwie chcę uzyskać kilka informacji... Przepraszamy panią na momencik – i „mecenas” wyprowadza pod rękę Wisłockiego do drugiego pokoju, szepce mu coś poufale do ucha.

Iza znów zostaje sama i czuje się coraz niewyraźniej. Po co tu przyszła? Dlaczego zgodziła się na jakieś idiotyczne kombinacje? Czy Wisłocki nie wystrychnął ją na dudka? W jej imieniu prosił o pożyczkę, ona ma dziękować temu łysoniowi i być dla niego miła, a Wisłocki tymczasem zagarnął gotówkę i obiecuje dać tylko na podróż do Warszawy i drobne wydatki. Resztę sam załatwi! Dobry sobie! Czy to ma być łapówka za obsadzenie w filmie? A ten łysy „mecenas” gotów sobie niewiadomo co o niej pomyśleć. Zaprosił na kolację (w prywatnym mieszkaniu, gdzie jest przecież od tego pani domu), może jeszcze spróbuje się umizgać. I ona ma to spokojnie znosić? Nie! Iza ma dość tej całej historii. Jutro w „Zacisznej” rozmówi się

z Wisłockim, powie, że na podróż do Warszawy będzie miała pieniądze (sprzeda zegarek, trochę może mama dołoży), na pierwsze niezbędne wydatki też wystarczy, a w Wytwórni sprawę postawi jasno: niech jej wypłacą zaliczkę – wtedy będzie mogła zamówić odpowiednie do swego stanowiska stroje. Na razie musi wystarczyć to co ma. Ostatecznie jest przecież młoda, ładna, zgrabna, z pewnością okaże się zdolna i pomimo wszystko, nie zjawi się w Wytwórni całkiem jak obdartus. Coś tam zawsze znajdzie, żeby na siebie włożyć i jakoś przyzwoicie się zaprezentować.

Nastrój panujący w salonie utwierdza Izę w tym postanowieniu. Towarzystwo zachowuje się coraz swobodniej. Jakaś para całuje się na oczach wszystkich, jakiś mężczyzna zaczyna na cały głos śpiewać głupawą piosenkę, a jego partnerka, mocno już pijana, śmieje się histerycznie. Izę ogarnia obrzydzenie – wszystko jest tak niesmaczne trywialne.

– Diabli wiedzą gdzie ja trafiłam – myśli zaniepokojona. – Jeżeli to są artyści, to chyba w najgorszym gatunku. Jak się zachowują! I to ma być prywatne przyjęcie? To jakaś spelunka! – Iza instynktownie zaczyna wyczuwać naokoło siebie atmosferę niebezpieczeństwa. Ogarnia ją chęć natychmiastowej ucieczki. Ma wrażenie, że lepki, brudny pająk wyciągnął po nią swoje wstrętne macki.

– Nie! Nie będę czekać do jutra! Zaraz, natychmiast trzeba zwrócić łysemu forszę!

Właśnie nadchodzi razem z Wisłockim. Obaj są w doskonałych humorach, widocznie popili sobie w międzyczasie.

– Królewno! Proszę na kolację! – woła „mecenas”, ale Iza nie słucha. Gwałtownie, nerwowo zwraca się do Wisłockiego:

– Panie Wisłocki, pan wziął dla mnie pożyczkę od tego pana, gdzie są te pieniądze?

Wisłocki patrzy na Izę zaskoczony – coś jest w jej głosie niepokojącego.

– Ależ są, są, niech pani będzie spokojna, oto kochane tysiączki – śmieje

się nieprzyjemnie, wyciągając z kieszeni plik banknotów – u mnie są pewne jak w banku!

Widocznie jednak nie podoba mu się wyraz twarzy Izy, bo dodaje usłużnie: – ale mogę pani dać zaraz pewną część. Ile pani chce?

– Wszystko! – Iza gwałtownym ruchem prawie wrywa mu z ręki pieniądze i podaje „mecenasowi”.

– Proszę pana, to był niemądry żart, na który namówił mnie pan Wisłocki. Bardzo pana przepraszam – żadnej pożyczki od nikogo nie potrzebuję.

Łysy zamienia się w słup soli. Wisłocki jest zaniepokojony, zdumiony, prawie zrozpaczony.

– Panno Izo! Co pani robi? A wyjazd do Warszawy? Pani kariera?

– Na wyjazd do Warszawy, gdyby doszedł do skutku, będę miała własne pieniądze – oświadczyła Iza dumnie – resztę załatwimy w Wytwórni. Na razie muszę wracać do domu, czekają na mnie. Do widzenia!

– Niech pani nie odchodzi, przecież mieliśmy zjeść razem kolację – próbuje ją zatrzymać „mecenas”.

– Panno Izo! Niech pani się zastanowi, porozmawiajmy spokojnie! – błaga Wisłocki.

– Ani chwili dłużej nie zostanę! – Iza prawie pędzi do przedpokoju, ścigana ciekawymi spojrzeniami obecnych w salonie. Wisłocki i „mecenas” idą za nią, proszą, namawiają. Niewiadomo skąd wyłania się nagle „przyjemna” pani domu. Jest niepocieszona, że Iza tak nagle odchodzi. Zabawa dopiero się zaczyna, jak można opuszczać towarzystwo tak wcześnie? Iza nie odpowiada, gorączkowo szuka płaszcza, ręce jej się trzęsą. Prędzej, prędzej wyrwać się stąd. Jest szczęśliwa, że zwróciła pieniądze, będzie jeszcze szczęśliwsza, gdy znajdzie się w domu, w swoim pokoiku, z dala od tych obrzydliwych ludzi. Nienawidzi w tej chwili Wisłockiego za to, że ściągnął ją tu, za cały niedorzeczny, wstrętny pomysł z pożyczką. Ach, gdyby nie był reżyserem filmowym, gdyby nie obiecana rola, nie odezwałaby się do

niego ani słowem. Może obraził się? A zresztą, pal go lichu! Niech nie obraża siebie, że jest jedynym reżyserem w Polsce!

– Może odprowadzimy panią i porozmawiamy jeszcze po drodze – proponuje mocno zdenerwowany Wisłocki

– Wstąpimy gdzieś na kawę – wtóruje łysy.

– Nie, nie, śpieszę się, pojedę tramwajem – Iza już wybiega z mieszkania, pędzi po schodach i dopiero na ulicy oddycha z ulgą. Dobrze, że się skończył ten okropny wieczór, na który tak bardzo liczyła. Dlaczego z bliska wszystko inaczej wygląda niż w marzeniach?

Część IV

– Obywatelka Izabela Nieczajkowska?

– Tak – Iza z przerażeniem patrzy na stojącego w drzwiach milicjanta

– Czy się stało coś z mamą... z bratem?... – Słowa ledwo przechodzą przez zduszone strachem gardło.

– Niech się pani uspokoi. Mamusi i braciszkowi nic się nie przydarzyło. Ja tu w innej sprawie. Do pani.

– Do mnie? – Iza jeszcze nie może przyjść do siebie. Czego od niej chce?

Milicjant wchodzi do pokoju, siada przy stole, rozkłada przed sobą jakieś papiery i gestem zaprasza Izę do zajęcia miejsca.

– Zna pani Marię Białoniówną?

– Nie, pierwszy raz w życiu słyszę to nazwisko. – Iza jest szczerze zdziwiona. Jakaś pomyłka?

– Wymieniona Białoniówna znana jest ogólnie pod imieniem Mira – śpieszy milicjant z wyjaśnieniem.

– Mira??! – Iza o mało nie spadła z krzesła

– Widzę, że pani już wie, o kogo chodzi. Proszę więc nic nie ukrywając, opowiedzieć wszystkie okoliczności w jakich pani się z nią spotykała.

- Właściwie zetknęłam się z nią tylko trzy razy. – Iza stara się opanować.
 - Pierwszy raz u koleżanki na prywatce.
 - U Kuleszówny? Zgadza się! – przerywa milicjant zaglądając do akt.
 - Czy na tej prywatce nic nikomu nie zginęło?
 - Owszem, zginął pierścionek u koleżanki Małgorzaty Jankowskiej...
 - I znalazł się potem w kieszeni płaszcza Kazimiery Rysikówny – uzupełnia milicjant.
- Iza jest zdumiona: skąd to wszystko wie? I co to w ogóle znaczy? Czyżby Małgosia zrobiła doniesienie na Ziutkę? A przyczym tutaj Mira?
- Dalej – ponagla milicjant – kiedy spotkała pani Białoniównę po raz drugi?
 - Przyszła do mnie nazajutrz po prywatce pożyczyć sukienkę.
 - Pożyczyła pani?
 - Tak.
 - I cóż – odniosła? – milicjant ma minę trochę kpiącą.
 - Dotąd jeszcze nie.
 - A jak dawno to było?
 - Drugi tydzień.
 - Kiedy wobec tego widziała ją pani po raz trzeci?
 - Gdy przyszła do mnie po sukienkę, umówiliśmy się na drugi dzień w kawiarni. Tam zresztą widziałam się z nią bardzo krótko. Przedstawiła mi swojego znajomego – Wisłockiego i zaraz odeszła.
 - Wisłocki? Może taki rudawy blondyn, piegowaty? – znów przerywa milicjant.
 - Tak, pan go zna? To reżyser filmowy z Warszawy. Nakręcił już sporo filmów.
 - Oj, nakręcił sporo, tylko nie filmów, – wzdycha milicjant – ale nasza w tym głowa, żeby przestał kręcić. I cóż ten – jakże mu – Wisłocki? Nie chciał pożyczyć od pani pieniędzy? Nie interesował się pani sytuacją mate-

rialną? Nie próbował namówić do wypłacenia pewnej kwoty na przykład za umożliwienie występu w filmie, albo na jakiś inny cel?

– Owszem, próbował – Iza spuszcza głowę – ale mu powiedziałam, że nie mam pieniędzy.

– I cóż wtedy? Pożegnał się i odszedł?

– Nie, powiedział, że zna kogoś, kto może mnie pożyczyć pieniądze.

– Aha, rozumiem!... I cóż dalej? Zgodziła się pani?

– Początkowo tak. Pojechaliśmy do jakiegoś jego znajomego, gdzie odbywało się przyjęcie.

– Przyjęcie? Niech i tak będzie... To było przy ulicy Szarej?

– Tak. – Iza znowu dziwi się, że i o tym milicjant wie.

– I co więcej?

– I nic – Izie jest wstyd, postanawia nie wdawać się w szczegóły tej okropnej wizyty. – Nie spodobało mi się to wszystko, rozmyślałam się, odrzuciłam pożyczkę i uciekłam stamtąd.

– Miała pani szczęście! – milicjant pokiwał głową. – Jak można być tak lekkomyślną? Chociaż co się dziwić – starzy ludzie dają się nabierać, a cóż dopiero młodzież.

– Ale ja nie rozumiem... Co to wszystko znaczy?

– To znaczy – głos milicjanta zabrzmiał ostro – że Białoniówna i jej przyjaciel, a zarazem współnik, Wincenty Pliszka, którego pani nazywa Wisłockim, są parą oszustów, naciągaczy i złodziei. Od dawna byli poszukiwanie przez milicję.

– Ależ to straszne! – Iza jest bliska płaczu.

– Tak, moja panienko, trzeba być bardzo ostrożną w zawieraniu znajomości. Także sama Białoniówna na zabawie u Kuleszówny skradła pierścionek Jankowskiej, a kiedy postanowiliście przeprowadzić rewizję, podrzuciła zapodany pierścionek do kieszeni płaszcza Rysikówny.

Iza jest blada jak ściana: – co pan mówi?! Co pan mówi?! Biedna Ziotka!

To przecież okropne! Ale skąd pan wie?

– Białoniówna i Pliszka zostali aresztowani i już przy pierwszym przesłuchaniu przyznali się do wszystkiego. Mają sporo jeszcze gorszych sprawek na sumieniu. Powinęła im się noga przy grubszej kradzieży.

– A to mieszkanie przy ulicy Szarej?

– Zlikwidowane. Właścicielkę przymknęliśmy też. Tam załatwiała się różne brzydkie i nieczyste interesy. Ot – melina, gdzie zbierali się złodzieje, kombinatorzy i bogaci spekulanci.

– A dziewczęta?

– Nic nie warte... Wykolejone, zmarnowane.

Milicjant wstaje i zaczyna składać papiery. – Może przyjdzie się pani zeznawać w sądzie w charakterze świadka. Całe szczęście, że nie przyjęła pani tej „pożyczki”, bo wtedy groziłoby pani oskarżenie o współudział.

Izie ciarki po plecach przechodzą. W ładną kabałę wpakowała się dobrowolnie!

W drzwiach milicjant zatrzymuje się jeszcze: – a z sukienką niech się pani pożegna. Białoniówna przyznała się, że sprzedała ją tego samego dnia, kiedy od pani wyłudziła. Ale w zalewającym Izę morzu goryczy, strata sukienki jest najmniejszą kroplą.

— • — • — • —

Co za okropny dzień! Iza nie może przyjść do siebie. Całe szczęście, że matki i Leszka nie było w domu podczas wizyty milicjanta. Ale czy mama i tak nie dowie się wcześniej lub później? Milicjant może przyjść znowu, mogą przysłać Izę wezwanie do sądu, mogą nawet napisać o wszystkim w gazetach i wymienić jej nazwisko. Brrr... Ale prawdziwy strach ogarnia Izę na myśl, że gdyby w ostatniej chwili, tam na Szarej, nie przyszły jej z pomocą skrupuły, instynktowny lęk i wstręt do otoczenia, mogłaby zasiąść na ławie oskarżonych razem ze złodziejską parą. – Nie przeżyłabym tego! – szepce pobladłymi ustami. Ale i teraz sytuacja wygląda nie wesoło.

Ona, taka dumna, tak przepojona poczuciem własnej wyższości, dała się głupio podejść tym oszustom, zgodziła się na brudne kombinacje, otarła się w melinie na Szarej o najgorsze szumowiny. Jak mogła przestąpić próg tej spelunki? Żeby chociaż o tym nikt się nie dowiedział! I jeszcze jedna sprawa dręczy Izę: Ziotka! Jak wielką krzywdę wyrządziło się tej biednej dziewczynie! Ile czasu musiała żyć pod strasznym zarzutem, z piętnem złodziejki! Przypomina sobie, jak Ziotka wołała z płaczem: „Nie ukradłam! Nie ukradłam! Nie wiem skąd się wziął w mojej kieszeni! Uwierzcie mi! Uwierzcie!” I nikt nie uwierzył... Nikt? Może jeden Marek. Bo przecież pobiegł wtedy za nią, gdy odchodziła. W jaki sposób zrehabilitować teraz Ziotkę w oczach wszystkich? Od kilku dni nie ma jej w szkole, krążą pogłoski, że już nie wróci, że maturę będzie zdawać jako eksternistka. Bo też ostatnio nie łatwe miała życie w klasie, otoczona bojkotem i pogardą koleżanek. Oczywiście, wszyscy obecni na nieszczęsnej prywatce i cała klasa muszą się dowiedzieć prawdy. Do Ziotki będzie trzeba pójść do domu, wyjaśnić, przeprosić. Ale z jakim czołem stanąć przed nią? Najgorsze, że wypadnie tłumaczyć wszystkim skąd ona, Iza, ma te wiadomości. Mogą żądać dowodów, a więc przyjdzie wspomnieć o wizycie milicjanta. Okropna sytuacja! Jak z niej wybrnąć?

Smutna, przygnębiona, robi Iza bilans krótkiej znajomości z Mirą. A więc:

1. krzywda wyrządzona Ziotce i związane z tym wyrzuty sumienia,
2. wstyd z wplątania się w brzydką aferę z oszustem i strach przed następstwami,
3. rozwiane na długo marzenia o filmie,
4. przykre, upokarzające wspomnienia z wieczoru na Szarej,
5. strata ulubionej sukienki.

Tyle klęsk! Och, ta Mira! Jaki zły los postawił ją na mojej drodze? – myśli z rozpaczą. A potem przychodzi złość na Edka, bo to przecież on przyprowadził Mirę. Skąd ją właściwie wytrzasnął? Może i on zamieszany jest

w te sprawki? Głowa pęka od myślenia. Najważniejsze w tej chwili, żeby mama o niczym się nie dowiedziała.

Nazajutrz w miejscowej gazecie ukazuje się sężnisty artykuł pod frapującymi tytułami: „Aresztowanie pary oszustów”, „Polowanie na jeleni”, „Wykrycie spelunki przy ulicy Szarej”. Z bijącym sercem Iza pochłania artykuł. Pierwszy wstrząs: w artykule jest wzmianka, że aresztowana Białoniówna znana była pod imieniem „Mira”. Oczywiście, bogaty ojciec, macocha, narzeczony-pułkownik w ogóle nie istnieją. Tak samo jak praca w biurze i występy w filmie. Wszystko to bujda! Głównym jej zadaniem było napędzanie naiwnej „klienteli” współnikowi. Mira zawierała znajomości i po dokładnym wysądowaniu ambicji, słabostek lub potrzeb danej osoby, przekazywała ją Pliszce. Niezależnie od tego, na własną rękę wykorzystywała zawarte znajomości, naciągając naiwnych, bądź to pożyczając, bądź po prostu kradnąc im pieniądze, garderobę i drobną biżuterię. Pliszka występował pod różnymi nazwiskami i w różnych rolach. „Pośredniczył” w zdobywaniu mieszkań, posad, podejmował się załatwiania wszelkiego rodzaju interesów. Po otrzymaniu żądanej kwoty, tytułem wynagrodzenia za „starania”, albo na koszty związane z załatwieniem sprawy – ulatniał się jak kamfora.

W artykule była wzmianka, że Pliszka specjalnie polował na młode, naiwne dziewczęta, którym obiecywał małżeństwo, albo karierę artystyczną, zależnie od ambicji upatrzonej ofiary. Wspomniano o spelunce przy ulicy Szarej, gdzie Pliszka i Mira byli stałymi bywalcami i załatwiali różne brudne interesy. Iza dopatruje się wyraźnej aluzji do siebie, gdy autor artykułu wyraża zadowolenie z wykrycia i likwidacji podejrzanego „prywatnego” mieszkania, gdzie „nieraz ściągano podstępem młodzieńkie lekkomyślne dziewczęta, które tak łatwowiernie szły na lep różnego rodzaju obietnic”. Z dalszego ciągu obszernego artykułu Iza dowiaduje się, że dobrana para wpadła, usiłując obrabować przyjezdnego pana X. Pan X

chciał kupić samochód, Mira, z którą zawarł znajomość w pociągu wysądowała, że wiezie grubszą gotówkę. Toteż nastęczyła mu „okazję”, zapoznając z Pliszką, rzekomym właścicielem pięknego, będącego na sprzedaż wozu.

Celem omówienia transakcji spotkali się wszyscy troje najpierw w jakiejś knajpie. „Rozmowa” była oczywiście suto zakropiona alkoholem, po czym mocno już wstawionego pana X oszuści zawieźli do mieszkania przy ulicy Szarej, gdzie odbył się dalszy ciąg libacji, w czasie której, Mira usiłowała wyciągnąć portfel, mocno już pijanemu panu X. Wtedy stała się jednak rzecz nieoczekiwana. Pan X nagle wytrzeźwiał, zdemolował lokal, wybił okno i krzykiem zwabił przechodzących milicjantów. W ten sposób skończyła się kariera Miry i jej współnika.

Iza cała czerwona ze wstydu odrzuca gazetę, ale odczuwa pewną ulgę: nie ma żadnego nazwiska, żadnych szczegółów mogących ściągnąć na nią podejrzenie, że też miała coś wspólnego z tymi aferzystami. Może matka nie dowie się o niczym.

— • — • — • —

Pani Helena przeczytała gazetę dopiero wieczorem, bo wcześniej jak zwykle nie miała czasu. Leszek już dawno śpi, a Iza leży w łóżku i w myślach przetrawia jeszcze raz swoją niefortunną przygodę, gdy pani Helena wchodzi do pokoju. Na widok gazety w rękach matki, Iza kurczy się pod kołdrą i próbuje udąć śpiącą, ale pani Helena jest zbyt przejęta, żeby to zauważyć.

– Czytałaś? – pyta wzburzona. Nie ma rady! Iza kiwa głową.

– Czy to ta sama Mira?

Cichutkie „tak” wydobywa się spod kołdry.

– Czy nadal twierdzisz, że mam staroświecki pogląd na życie i ludzi? Że Mira to „przyzwoita, nowoczesna babka” – tak zdaje się ją określiłaś? – Głos pani Heleny jest przepojony ironią.

– Miałas rację – odpowiada Iza niezwykle potulnie – ale proszę cię, mamo, nie dręcz mnie – i tak już jestem ukarana.

– Rozumiem, straciłaś bezpowrotnie najlepszą sukienkę...

– Ach, cóż znaczy sukienka! Więcej straciła, więcej! Stokrotnie więcej! – krzyczy nagle Iza tak przenikliwie, że rozespany Leszek zaczyna się kręcić na swoim łóżku i pomrukiwać przez sen.

Pani Helena, blada jak trup, chwyta córkę za rękę: – Izo, co się stało? O jakiej stracie mówisz? Powiedz, wszystko powiedz!

– Straciłam marzenia, ufność, spokój, a może nawet opinię! – szlocha dziewczyna rozpaczliwie. Pani Helena siada na łóżku, mocno przytula do siebie płaczącą i pieszczotliwie głaszcze ją po głowie. – Opowiedz wszystko, nic nie ukrywaj przede mną, któż ci lepiej pomoże i doradzi – mówi łagodnie. I pod wpływem tych ciepłych, serdecznych słów, kruszy się mur między córką i matką. Gorączkowo, chaotycznie, Iza wyrzuca z siebie bezładne słowa. Opowiada wszystko, poczynając od fatalnej prywatki, aż po wizytę milicjanta.

Pani Helena jest wstrząśnięta: – uniknęłaś wielkiego niebezpieczeństwa, większego może niż przypuszczasz – niech ci to będzie nauką na przyszłość. Wszystkie obecne przykrości są naturalną konsekwencją jednego fałszywego i nierozważnego kroku. Dobrze, że się na tym skończyło. W najgorszym razie staniesz przed sądem jako jeden z licznych świadków, ale miejmy nadzieję, że może obejdzie się bez ciebie. Tymczasem najważniejszą, najbardziej palącą sprawą jest rehabilitacja Ziotki.

Iza czuje ogromną ulgę i powoli uspokaja się. Może rzeczywiście nie stało się nic strasznego i cała historia wkrótce pójdzie w niepamięć.

— • — • — • —

Od dwóch dni, czyli od wizyty milicjanta, Iza nie była w szkole. Nie może zdobyć się na to, żeby wyjść na ulicę, wejść do klasy, spojrzeć ludziom w oczy albo rozmawiać z koleżankami. Musi najpierw przetrwać w sobie

wszystko i zastanowić się, co robić dalej. Pierwszego dnia po prostu zwa-
garowała, ale nazajutrz po wieczornej rozmowie z matką, naprawdę czuje
się tak źle i wygląda tak mizernie, że pani Helena zgadza się, by pozostała
w domu i obiecuje napisać usprawiedliwienie.

Ale gdy matka wyszła do biura, a Leszek do szkoły, Izie zaczyna dokuczać
samotność. Błąka się po mieszkaniu, nie jest w stanie skupić się nad ksią-
żką, a żeby zająć się czymś i rozproszyć przygnębiającą nudę, zabiera się
dość ochoczo do sprzątanania. – Będzie mama miała niespodziankę – myśli z
zadowoleniem.

Okolo godziny pierwszej, przy drzwiach odzywa się dzwonek. Iza otwiera
trochę niespokojna, bo a nuż znowu milicjant? Ale nie – do pokoju wpa-
dają Oleńka i Marek. Oboje są bardzo wzburzeni.

– Nie było ciebie w szkole od dwóch dni – zaczyna trzepać Oleńka –
a sprawa jest niezmiernie pilna. Skorzystałam więc, że ostatniej lekcji dziś
nie było i postanowiłam prosto ze szkoły wpaść do ciebie. Po drodze spot-
kałam Marka...

– Czytałaś? – przerywa jej Marek i wyciąga z kieszeni wczorajszą gazetę.
Iza oblewa się rumieńcem. Ile razy jeszcze usłyszysz to pytanie? Ile razy
jeszcze pokażą jej tę przebrzydłą gazetę?

– Czytałam – odpowiadam bezbarwnie.

– Mam wrażenie, że to jest ta sama Mira z prywatki u Oleńki – mówi
Marek.

– Nie mylisz się – ta sama – potwierdza.

Oleńka klasnęła w ręce: – wiesz, mnie to samo przyszło do głowy! Bo
przecież ta cała Mira zachowywała się wtedy bardzo dziwnie. Od razu mi
się nie podobała. I wiesz – pomyślałam sobie po przeczytaniu tej gazety, że
kto wie – może to ona ukradła pierścionek Małgosi i tylko przez pomyłkę
schowała go do płaszcza Ziotki, zamiast swojego.

– Wcale nie przez pomyłkę. Po prostu w ostatniej chwili przed rozpoczę-

ciem rewizji, kiedy nosiliśmy z przedpokoju płaszcze, podrzuciła pierścionek Ziotce.

– Podrzuciła?! – Oleńka aż się wstrząsa. – Co za podłość! Co za podłość! Biedna, biedna Ziotka!

– Od początku byłem przekonany, że Ziotka jest niewinna, a podejrzewałem właśnie Mirę, tylko że nie miałem żadnych dowodów – mówi Marek nie mniej przejęty od Oleńki, – ale skąd ty, Izo, wiesz?

– Trudno – myśli Iza – trzeba się jeszcze raz wypowiedzieć. I zaczyna znowu od początku całą historię, nic nie ukrywając.

Oleńka, co chwila przerywa jej okrzykami i pytaniami. Marek słucha blady, ze ściągniętymi brwiami, a kiedy Iza kończy opowiadanie, milczy dłuższą chwilę i coś rozważa.

– Jutro, Izo, pójdziesz do szkoły – mówi wreszcie i głos jego brzmi prawie rozkazująco – wyjaśnisz wobec całej klasy historię z pierścionkiem. O swoich perypetiach z pseudo Wisłockim nie musisz wszystkim opowiadać – my z Oleńką zachowamy to w tajemnicy. Ale musisz powiedzieć, że prawdy o kradzieży dowiedziałaś się od milicjanta, który przychodził do ciebie w sprawie wyłudzonej przez Mirę sukienki. Trudno, trzeba się przyznać, że nabrano cię z tą sukienką.

Iza kiwa głową i wzdycha: – tak, tak, nie ma rady!

– To jest jedna sprawa – ciągnie dalej Marek, – druga zaś najważniejsza: jeszcze dziś po południu my wszyscy, którzy byli obecni na prywatce, pójdziemy do Ziotki i uroczyście przeprosimy ją. Będziemy też prosić, żeby wróciła do szkoły, a także wobec całej klasy, przeprosicie ją jeszcze raz. Zwłaszcza Małgosia, która rzuciła jej w oczy „złodziejka”.

– Tak! – woła Iza – ona jest najbardziej winna!

– Wszyscy jesteśmy winni jednakowo – mówi Oleńka – wszyscy potępiliśmy Ziotkę od razu, nie próbując dowiedzieć się prawdy, porozmawiać z nią, uwierzyć.

– Wszyscy oprócz Marka – mówi Iza – bo przecież ty jeden Marku, wątpieś w jej winę. Krzyknałeś na Małgosię, gdy nazwała Ziutkę złodziejką, a potem pobiegłeś za nią i odprowadziłeś do domu. O czym rozmawialiście po drodze?

– Ona cały czas płakała i powtarzała w kółko: „nie wzięłam pierścionka, nie wzięłam”. Uspakajałem ją i zapewniałem, że jej wierzę, że sprawa z czasem na pewno się wyjaśni. Potem pytała się jak ja myślę, skąd się wziął pierścionek w kieszeni jej płaszcza. Rozkładałem bezradnie ręce: – „nie wiem, chyba ktoś podrzucił”. Żegnając się, dziękowała mi ze łzami, powtarzała wciąż: „nigdy nie zapomnę, że nie opuściłeś mnie w tak ciężkiej chwili”.

Marek urywa mocno wzruszony. Oleńce i Izie też łzy napływają do oczu. Chwilę wszyscy milczą.

– Wiecie co – woła Oleńka – chodźmy teraz od razu do Małgosi. Musimy zaraz powiedzieć jej o wszystkim i umówić się na popołudnie do Ziutki. Może zastaniemy u niej Jurka.

– Chłopców biorę na siebie – mówi Marek – stawiają się w komplecie. Ale z Małgosią można porozmawiać zaraz.

– Za chwilę będę gotowa – Iza gorączkowo zaczyna się ubierać.

Wychodząc, w drzwiach zderzają się z powracającym ze szkoły Leszkiem.

– Zaraz wracam! – woła do niego Iza i po chwili cała trójka znajduje się na ulicy.

— • — • — • —

No i proszę! Jak to się czasem składa: ledwo wyszli z domu, natknęli się na Edka. Idzie z rękami w kieszeniach, pewnym długim krokiem, ale minę ma mniej butną niż zwykle, wygląda na zamyślonego i zakłopotanego. Nawet – o dziwo – usiłuje wyminąć naszą trójkę i skwitować ją obojętnym ukłonem. Ale to się nie udaje.

– Cześć! – woła Marek – gdzie się podziewasz? Kopę lat ciebie nie widzia-

łem. (Edek uczęszcza do ogólniaka, a Marek do liceum pedagogicznego – widują się więc tylko poza szkołą.)

Edek niechętnie się zatrzymuje i dość sztywno wita się ze wszystkimi. Jest wyjątkowo milczący.

– Dobrze, że ciebie spotkaliśmy – zaczyna Oleńka – jest pilna sprawa do załatwienia. Nie masz pojęcia, co ta twoja Mira narozrabiła...

– Tylko nie moja! Tylko nie moja! Wypraszam sobie! – warknął Edek. I w ogóle dajcie mi święty spokój z tą Mirą. Czy ja jestem jej bratem, mężem lub narzeczonym? Czego wy ode mnie chcecie?

– Jak to co? – oburza się Oleńka – tyś ją do mnie przyprowadził, w moim domu wydarzyła się ta cała heca z pierścionkiem...

– Co ma wspólnego Mira z tym pierścionkiem? Przecież to Ziućka.

Ale Marek przerywa mu stanowczo: – nie Ziućka, tylko właśnie Mira ukradła i była jeszcze na tyle podła, że potem podrzuciła go Ziućce.

– Co-o-o?! – Edek ma minę osłupiałą. Wtedy dziewczęta bezładnie, chaotycznie, przerywając jedna drugiej, informują go o wszystkim.

– Takie buty! – gwizdnął Edek gdy skończyły. – Kto by to pomyślał? Przeczytałem wprawdzie w gazecie o aresztowaniu Miry i jej sprawkach, ale jakoś nie skojarzyłem tego z wydarzeniem na prywatce. Ale że Mira... Taką szalową babką! No, no...

– Bardzo szalowa! – wtrąca Iza zjadliwie – dziwne, że nic wcześniej nie podejrzewałeś. Nie zwierzała się tobie? Mówiła mi przecież, że zna cię od dawna, że jesteście w przyjaźni...

– Daj spokój! – Edek macha ręką. – Poznałem ją na dwa dni przed prywatką. Przygadała mnie sobie w autobusie. Potem poszliśmy na kawę – sama mnie zaprosiła. Przy kawie namawiała na tańce w jakiejś knajpie, ale że nie byłem przy forsie, wykręciłem się i jako rekompensatę zaproponowałem prywatkę u Oleńki. Ot i cała znajomość.

– Ładna znajomość! – nie przestaje dogadywać Iza – dziwię się tylko, że ty

- taki cwaniak, nie poznałeś się na niej od razu.
- Zauważyłem, że lubi bujać i nie bardzo można jej wierzyć. Widziałem też, że jest łatwa do flirtu, co mi zresztą wcale nie przeszkadzało, owszem – było na rękę.
- Ja myślę! – znęca się dalej Iza – za to teraz nie wiadomo, co z tego flirtu wyniknie.
- Przypuszczacie, że mogę mieć jakieś przykrości? – niepokoi się Edek – mnie to też przychodziło do głowy. Może będę musiał zeznawać w sądzie?
- Raczej nie – uspakaja go Marek – o ile nie wdawałeś się w inne podejrzane kombinacje. Znałeś Wisłockiego, czyli po prostu Pliszkę?
- Pliszkę? Nie! To ten gość, któremu Mira napędzała jeleni? Na szczęście nie miałem przyjemności.

Edek jeszcze długo nie może się uspokoić. Wzdycha i rozwodzi się nad swoimi niepowodzeniami. Bo to trzeba mieć takiego pecha jak on: raz w życiu poderwał fajną babkę i – proszę – co z tego wynikło. Babka okazała się oszustką i złodziejką, a on musi teraz drzeć, żeby ta znajomość nie zaszkodziła mu w budzie albo w domu.

– Gdyby mój stary się dowiedział, to by była stypa!

Do Ziotki oczywiście pójdzie – nie ma dwóch zdań. Głupio będzie, ale – trudno! Umawiają się więc na godzinę piątą koło ratusza. Edek obiecuje przyprowadzić Lucka. Z Jurkiem załatwi Marek, o ile nie będzie go u Małgosi.

— • — • — • —

Jednak Jurka rzeczywiście zastają u Małgosi. Wysłuchuje uważnie sprawozdania dziewcząt, jest bardzo przejęty krzywdą Ziotki i chętnie zgadza się iść do niej. Za to Małgosia sprawia wszystkim niemiłą niespodziankę. Rusza wzgardliwie ramionami i oświadcza: – bardzo mi przykro, że tak się stało, ale do żadnej winy nie poczuwam się wcale. Wszystkie dowody wskazywały na Ziotkę, nawet prokurator byłby tego zdania. A iść do niej

przepraszać nie ma zamiaru. Najwyżej możecie jej powiedzieć w moim imieniu, że cofam słowo „złodziejka”.

Wszyscy są oburzeni tym oświadczeniem.

– Nie masz za grosz serca, jeżeli nie zdajesz sobie sprawy z wyrządzonej krzywdy – mówi Marek.

– Głupia, bezduszna lalka! – wybucha Oleńka, a Iza krzywi się z niesmakiem: – chodźmy, nie mamy tu nic do roboty.

Jurek stoi osłupiały i patrzy na Małgosię z wyrzutem, po raz pierwszy bez zwykłego uwielbienia. Małgosia jednak pozostaje niewzruszona. Spokojnie poleruje paznokcie i podziwia ich połysk.

Dziewczęta z Markiem wychodzą śpiesznie. Jurek dopędza ich na schodach: – mieliście rację! To jest tylko lalka! Nie chcę jej więcej znać!

— • — • — • —

Szara, obdrapana kamienica. Podwórko wąskie i ciemne jak studnia. Wchodzą do klatki schodowej i zatrzymują się niepewnie.

– Na którym to piętrze? – pyta Marek.

Oleńka rusza ramionami: – nie wiem. Nigdy nie bywałyśmy u Ziotki. Wyraźnie dawała do zrozumienia, że nie życzy sobie naszych odwiedzin. Ulicę i numer domu znam przypadkowo – wygadała się kiedyś.

– Zapukamy do pierwszego z brzegu mieszkania i zapytamy – proponuje Edek. Pukają więc do jakichś drzwi, słysząc stłumione „proszę” i po chwili znajdują się w małej kuchence. Wysoka, tęga kobieta krząta się przy kuchennym piecu, a na widok przybyłych, odstawia na bok patelnię ze skwierczącą w tłuszczu cebulą, wyciera ręce fartuchem i patrzy na nich pytająco.

– Przepraszam, gdzie mieszka Ziota Rysikówna – pyta Iza – to nasza koleżanka, przychodzimy w ważnej sprawie.

– Rysikówna? Na drugim piętrze, pierwsze drzwi na lewo, ale nie radzę wam teraz tam iść. Słyszycie? – Podnosi palec do góry i nasłuchuje. Rze-

czywiście, z góry dochodzą jakieś krzyki, płacz, łomot przewracanych mebli.

– Stary Rysik wrócił dzisiaj wcześniej i znów pijany jak bela – mówi kobieta, zniżając głos. – Słyszycie jak się awanturuje?

– On tak... często?... – pyta Marek.

– Prawie co dzień – informuje kobieta tajemniczo. – I pomyśleć, że to zdolny fachowiec, dobrze zarabiał, ale cóż – wódka go zgubiła. Pracował w fabryce jako majster. Przyszedł raz, drugi do pracy pijany. Potem jakieś narzędzia wyniósł i sprzedał. Dostał parę lat. Teraz nigdzie miejsca nie zagrzeje, wszędzie go wyrzucają za pijaństwo. Łazi po knajpach i pije, a w domu brewerie wyprawia. Biedna Rysikowa na szczapę wyschła, chyba suchot dostała. Pracuje kobiecina jak może – ludziom schody, okna myje, bieli, pierze, bo w domu pięcioro dzieci – sam drobiazg. Ziuta, wasza koleżanka – najstarsza. To dobra dziewczyna. Jak może matce pomaga, dziećmi się opiekuje. Bez niej obrosłyby brudem, bo Rysikowa nie ma czasu – cały dzień po ludziach biega. Bo jakże: w domu bieda aż piszczy, tyle gęb trzeba nakarmić

Na młodych twarzach słuchających maluje się zgroza.

Rozgadana kobiecina trajkocze dalej: – Ziuta jedna umie jakoś starego uspokoić, gdy się upije. Bo inaczej pozabijałby żonę i dzieci. Czasem i Ziotce coś oberwie się, ale jeszcze ją w końcu usłucha. Toteż ona nieraz i z knajpy go wyciągnie i w domu po nocach czeka na jego powrót, żeby spać ułożyć i do awantury nie dopuścić.

– Dlatego wtedy u Oleńki tak się wyrywała do domu – mówi cicho Marek – a myśmy ją posądzali!...

Wychodzą milczący i zatrwożeni z mieszkania gadatliwej kobiety. Na schodach zatrzymują się: co teraz robić? Ale w tej chwili na górnym piętrze z hałasem otwierają się drzwi i przepity chrapliwy głos krzyczy: – cholery! Pozabijam! Wszystkich pozabijam psiakrew! I drugi krzyk,

w którym rozpoznają głos Ziotki: – niech mama ucieka z dziećmi, niech mama ucieka!

Po schodach na dół pędzi szczupła, okryta chustą kobiecina, o szeroko otwartych przerażonych oczach. Do piersi tuli małe, może trzy letnie dziecko, które krzyczy przeraźliwie. Troje starszych w wieku od 6 do 10 lat płacze się z płaczem przy jej spódnicy.

I wtedy na górze, na schodach, zobaczyli Ziotkę. Drobnymi, prawie dzieciennymi dłońmi, trzyma z całej siły wrywającego się mężczyznę o czerwonej twarzy i mętnych przekrwionych oczach. Mężczyzna ma w ręce duży kuchenny nóż. – Zabiję! – ryczy – zabiję!

– Tatusiu! Tatusiu najdroższy! – szlocha Ziotka – niech się tatuś uspokoi, niech idzie spać. Dlaczego tatuś straszy dzieci, dlaczego krzywdzi nas? Bo przecież my tatusia kochamy! Za co tatuś chce nas pozabijać?!

Pod wpływem tych czułych, przerywanych łzami słów, mężczyzna zaczyna się uspakajać. Już nie wrywa się Ziotce, pokornie oddaje nóż, a potem nagle wybucha pijackim płaczem.

– Zioteczko, córuczno najmilsza! Jesteś najlepszym dzieckiem, a ze mnie podły łajdak, stracony człowiek! Nie wart jestem takiej córki! Nie będę już pił, przysięgam, że nie będę! I niech mi ręka uschnie, jeżeli jeszcze kiedyś uderzę kogoś z was! Możesz zawołać matkę – niech wraca. Ja idę spać.

Bełkot pijaka staje się coraz bardziej niewyraźny. Potulnie daje się zaprowadzić do mieszkania. Słysząc jeszcze trzask zamykanych drzwi i dom zalega cisza.

Dwie dziewczyny i czterech chłopaków przytuleni do ściany stoją w ciemnym kąciku klatki schodowej, wstrząśnięci i przerażeni sceną, która rozegrała się na ich oczach. Żadne z nich nie jest w stanie wymówić ani słowa. Powoli, w milczeniu, zaczynają schodzić w dół. A wtedy na górze znów otwierają się drzwi i słysząc prędkie, drobne kroki po schodach. Ziotka w narzuconej na głowie chustce mija milczącą gromadkę. Idzie nie

widząc, jak lunaticzka, zapatrzona w głąb własnej niedoli.

– Ziutka! – woła cicho Marek.

Drgnęła, zatrzymuje się, w smutnych oczach zapalają się złe błyski: – a to wy! Wy tutaj! Nie dość wam było, że zrobiliście mnie złodziejką, nie dość, że zmusiliście mnie do odejścia ze szkoły – jeszcze przychodzicie szpiegować! Widzieliście? Słyszeliście wszystko? Jutro cała klasa dowie się, będzie miała nową sensację: Rysik pijak, Rysik tłucze żonę i dzieci i awanturuje się na schodach! Ale ja gwizdzę na to! Tak: Rysik pijak, awanturnik, złodziej, ale to mój ojciec i ja go kocham pomimo wszystko! A on nas też kocha i gdy jest trzeźwy, potrafi być dobry. To słaby i nieszczęśliwy człowiek, tylko że wy tego nie rozumiecie. Potępicie go jak mnie potępiście. Czego ode mnie chcecie? Czego tu przyłazicie? Może znów męczyć mnie o ten głupi pierścionek, którego nie wzięłam. Dajcie mi spokój! Idźcie stąd! Nie chcę was widzieć, nie chcę znać! Nie wrócę już do szkoły – możecie być spokojni!

Wszystko to Ziutka wyrzuca z siebie jednym tchem, cała drżąca ze wzburzenia.

– Ziutko – mówi Marek łagodnie – nie przyszliśmy cię szpiegować, nie chcemy cię męczyć, nie mamy zamiaru rozgłaszać twego nieszczęścia. Przychodzimy powiedzieć, że sprawa z pierścionkiem wyjaśniła się. Mira ukradła i podrzuciła tobie. Jutro zostaniesz zrehabilitowana wobec całej klasy, a dziś błagamy cię o przebaczenie, wyrażamy nasz serdeczny żal z powodu krzywdy jaka cię spotkała i prosimy bardzo, bardzo żebyś wróciła do szkoły.

– Tobie, Marku, nie mam nic do przebaczenia – ty jeden podtrzymałeś mnie na duchu, kiedy reszta odtrąciła – odpowiada Ziutka chmurnie.

– Przykro nam, Ziutko! Przepraszamy cię serdecznie! – mówi nieśmiało Iza.

– Przebacz! – wtóruje Oleńka.

Ziutka zanosi się śmiechem: – przebacz! Jak to się łatwo mówi! Ale mnie nie było łatwo żyć tyle czasu z piętnem złodziejki! Mnie nie było łatwo znosić wasz bojkot, waszą pogardę! Do chłopców nie mam tyle żalu: mało się z nimi stykałam, nie znali mnie dobrze... Ale wy – koleżanki, przyjaciółki! Żadna z was nie spróbowała nawet mnie uwierzyć, żadna nie miała wątpliwości co do mojej winy, nie wzięła w obronę! Pierwszy raz wyszłam ze swojej skorupy, pierwszy raz zapragnęłam zabawić się w waszym gronie, stać się na chwilę jak wy, młodą dziewczyną, zapomnieć o koszmarach mego domowego ogniska. I zapłacałam za to, słono zapłacałam! A teraz, kiedy prawdziwa złodziejka odnalazła się, mówicie „przebacz”! I cóż z tego, że powiem „przebaczam”, jeżeli naprawdę w sercu nie mam dla was przebaczenia. Mam żal, urazę, gorycz, wszystko, tylko nie przebaczenie!

Zasłużyliśmy na te gorzkie słowa, Ziutko! – mówi Oleńka – ale wierz nam, my szczerze żałujemy tego co się stało.

– Ja też prosiłam was „uwierzcie mi”, a wyście nie uwierzyli. I cóż mi przyjdzie, że żałujecie teraz? Cały wasz żal nie wskrzesi we mnie tego, co zabiliście. Nie, idźcie sobie, idźcie i pozostawcie mnie w spokoju. Może kiedyś, z czasem zapomnę trochę, ale teraz ból zbyt świeży. Jeszcze krwawi... A do szkoły i tak nie wrócę. – Zbiega ze schodów i po chwili znika w bramie.

– O, rany – wzdycha Lucek – ale nas zjechała!

– Co prawda, na nic lepszego nie zasłużyliśmy.

– Jutro w budzie wyjaśnię sprawę Ziutki – mówi Iza stanowczo – i jak się trochę uspokoi, całą klasą przyjdziemy ją prosić o powrót do szkoły.

– Tylko ani słowa w szkole o tym, co tu widzieliśmy! – przestrzega Marek.

– Oczywiście!

– Swoją drogą, to było straszne – odzywa się milczący dotąd Edek – wiecie, nieraz lubiłem sobie przy jakiejś okazji pociągnąć kieliszka dla humoru, ale zdaje się, że na długo stracę wszelki smak do alkoholu.

– Zawsze śmiałem się z pijaków jak z nieszkodliwych błaznów – wtrąca Jurek – ale teraz widzę, że to wcale nie wygląda zabawnie. To już nie komedia, tylko dramat.

– A ja nigdy, nigdy nie wyjdę za mąż za pijaka, choćby był cały ze złota – oświadczyła Oleńka.

Wracają do domu smutni i przygnębieni. Życie odsłoniło przed nimi jeszcze jedną ze swoich złych tajemnic. A jednak, chociaż scena której byli świadkami kładzie się cieniem na sercu, choć nie niosą przebaczenia Ziotki, choć przezuwają jeszcze cierpką gorycz jej słów – nie żałują swojej wyprawy. Czegoś się nauczyli, coś zrozumieli, jakąś słuszną karę za swoją winę ponieśli i przestrozę na przyszłość otrzymali.

Dwie dziewczyny i czterech chłopaków idą zadumani ulicami miasta, a nad nimi, na wieczornym zimowym niebie, płonie biała lampa księżyca.

Część V

Oleńka ze złością odsuwa od siebie rozłożone na stole zeszyty i książki.

– Nie! W takich warunkach nie można wkuwać! Mama tłucze się po pokoju, radio za ścianą u Malinowskich drze się jak opętane, a jeszcze to podłe światło na dodatek! Zobaczy mama, że oślepnę przy tej żarówce.

Kuleszowa przeraża się nie na żarty: – co ty wygadujesz, córuchno. Zaraz – oślepnę! Jak można tak mówić? Ja w twoim wieku odrabiałam zadania przy naftowej kopciłce i jakoś nie oślepałam.

– Bo mama miała mocniejsze oczy. Zresztą i tak bez okularów nie przeczyta teraz gazety i nie nawlecze igły, chociaż nie jest jeszcze taka stara. Ale ja nie chcę nosić okularów, nie chcę!

Kuleszowa drepce do bielizniarki i długo grzebie w szufladzie

– Masz, córuchno, idź kup setkę. Tylko, że setka tyle prądu ciągnie, a prąd teraz drogi! – dodaje z westchnieniem.

– Chyba moje oczy ważniejsze.

– Pewnie, pewnie! No, idź córuchno, kup żarówkę i ucz się, ucz! Ja już w pokoju skończyłam sprzątanie i teraz pójdę do kuchni – nie będę przeszkadzać. A do Malinowskich wstąpię i poproszę, żeby ściszyło radio.

Oleńka szybko ubiera się i wychodzi na ulicę. Właściwie z tą żarówką, to był pretekst, żeby oderwać się na chwilę od książek, przelecieć się po mieście. Wieczór taki przyjemny, biały od śniegu i pomimo niewielkiego mrozu, w powietrzu czuć pierwsze podmuchy zbliżającej się wiosny. Karnawał w całej pełni. Oleńka wzdycha: ludzie bawią się, tańczą na balach i dancingach, a ty człowieku, siedź w domu, wkuwaj i odmawiaj sobie każdej przyjemności. Nie tańczyła już od czasu tej nieudanej prywatki – jakoś wszyscy stracili chęć do podobnych imprez. Na zakończenie karnawału projektuje się wprowadzić urządzenie zabawy w szkole, ale to też nic ciekawego. Ciągłe te same twarze, skromne sukienki i tańce pod okiem profesorów. Ach, żeby raz być na prawdziwym wielkim balu!

– Cześć, Oleńko! – Lucek z szerokim uśmiechem wyciąga do dziewczyny rękę. Ucieszyła się szczerze. Dawno nie widziała nikogo z chłopaków, a do Lucka zawsze czuje szczególną sympatię.

– Jak się masz, Lucek! Fajno, że ciebie widzę! Co u was słychać.

– Ano, nic – trochę się wkuwa, ale nie zanadto, żeby się nie przemęczyć. Wiesz, Edek namotał sobie nową babkę, ale tym razem był ostrożny, wyniuchał wprzód co za jedna, zebrał informacje. Widziałem ją – niczego sobie dziewczynka. Uczy się w szkole pielęgniarstwa. Z miejsca wzięła Edka za łeb. Nie poznałabyś go – spokorniał, przycichł...

– No, no – dziwi się Oleńka – więc z Izą ostatecznie skończone? Bo przedtym, zanim zjawiła się Mira, Iza podkochiwała się w nim.

– Później próbował znowu do niej się przywalać, ale Iza go przepędziła. U niej teraz Marek ma fory. Zresztą ty, jako jej przyjaciółka powinnaś o tym lepiej wiedzieć.

– Cos niecoś wiem, ale Iza od czasu ostatnich wydarzeń zrobiła się bardzo skryta. Owszem, o Marku mówi bardzo dobrze, już nie nazywa go nudziarzem. Widziałam ich kiedyś razem na spacerze. Ale otwarcie Iza nie przyznaje się do swojej sympatii.

– A teraz najciekawsze – o Jurku – opowiada dalej Lucek – wyobraź sobie, że on już kilka razy był u Ziotki. Nosi jej węgiel z piwnicy, pali w piecu, pomaga nawet dzieci kąpać.

– Co ty mówisz? Ależ to prawdziwa sensacja!

– Ciekawy jestem, co Małgosia powiedziałaaby na to...

– Ach, ta nakręcona lalka, niczym nie potrafi przejąć się naprawdę. Jeżeli jej zależało na Jurku, to tylko przez ambicję. Mało z nią mamy teraz do czynienia. Tyle, że widujemy się w budzie. Stosunki między nami zupełnie ochłodziły. Nigdy nie była lubiana, a od czasu gdy, cała klasa dowiedziała się, że Małgosia, która najbardziej zawiniła, nie poszła do Ziotki z przeprosinami – wszyscy zupełnie odsunęli się od niej. Ona zresztą nic sobie z tego nie robi – zawsze widzi tylko siebie. Słyszałam, że przychodzi teraz do nich do domu jakiś starszy gość, podobno technik z przemysłu i kto wie, czy Małgosia zaraz po maturze nie wyda się za mąż.

– Jedyna sensowna rzecz, którą mogłaby zrobić – może się zmieni wtedy. Zresztą Małgosia – niezła partia. Tatuś – prywatna inicjatywa, forsy ma jak lodu, dziewczyna nie brzydka, a że nie ma ani serca ani rozumu, to nie każdemu przeszkadza. Ja takiej żony nie chciałbym, ale to rzecz gustu.

Idą chwile w milczeniu, potem Lucek pyta: – byłyście jeszcze raz u Ziotki?

– Całej klasy nie dało się zebrać. Wiesz jak to u nas jest: jedna miała randkę, drugą zatrzymano w domu, trzeciej też coś wypadło, a czwarta nie bardzo chciała świecić oczami. Ale poszła nas spora gromada. Bałyśmy się z Izą, żeby znów nie trafić na awanturę, więc poszłyśmy prosto ze szkoły, bo w tych godzinach Rysik albo pracuje (jeżeli w ogóle chwilowo pracuje), albo siedzi w knajpie. Ziotkę zastałyśmy przy gotowaniu obiadu. Była spo-

kojniejsza niż wtedy, ale przyjęła nas chłodno. Powtórzyła mniej-więcej to samo co wtedy. Do szkoły nie wróci, żalu do nas nie może się pozbyć i prosi żebyśmy ją zostawiły na razie w spokoju.

– Zacięta! – wzdycha Lucek, ale trudno jej się dziwić.

– No, a ty Lucku, czemu opowiadasz o wszystkich a siebie pomijasz – zmienia Oleńka temat na weselszy. Przyznaj się, może też namotałeś sobie jakąś babkę?

– Ja? Ja ciągle noszę w sercu pewną pyską niebieskooką blondyneczkę, niejaką Oleńkę Kuleszównę – może ją znasz?

Oleńka oblewa się rumieńcem. – Nie wygłupiaj się, Lucek, i nie próbuj mnie bujać, za cwana jestem!

Lucek wzdycha: – proszę! kochaj się człowieku skrycie, oświadczyć się z bi-ciem serca – taką otrzymasz nagrodę! Ale wiesz, co ci proponuję? W „Marzeniu” grają jakiś pyszny film, podobno kryminał nie z tej ziemi. Może byśmy poszli?

– Nie mam forsy.

– Nie szkodzi, ja za to mam. Na dwa bilety wystarczy. I na dziesięć deka cukierków też. Mój stary dziś trochę potrząsnął kabzą, bo dostał premię. Chodź prędzej, bo się spóźnimy, za piętnaście minut zaczyna się seans.

– Ale... ja mam nieodrobione zadanie.

– Nie zając, nie ucieknie. Odrobisz po kinie.

– Właściwie wyszłam tylko kupić żarówkę. – Oleńka waha się chwilę, w końcu jednak pokusa zwycięża: – no dobrze, chodźmy!

— • — • — • —

– List do pani. Zagraniczny! – Listonosz uśmiecha się wręczając Oleńce kopertę. Dziewczyna ze zdumieniem i niedowierzaniem obraca ją w rękach. Zagraniczny? Do niej? Nie ma przecież nikogo za granicą. W ogóle nie otrzymuje żadnych listów. Ale na kopercie jak wół tkwi stempel U.S.A. Chicago i wyraźnie wypisany adres: Aleksandra Kuleszówna. Cóż to zno-

wu za heca! Niecierpliwie otwiera list i zaokrąglonymi ze zdumienia oczami przebiega go od początku do końca:

Najdroższa moja Oleńka!

Zdziwi Cię na pewno list od nieznanej osoby, bo przypuszczam, że nigdy o mnie nie słyszałaś. Niestety – nie mogę Ci w liście wyjaśnić kim jestem. Może pani Kuleszowa zechce Cię o niektórych sprawach poinformować. Powiedz jej, że niezadługo przyjadę do Polski na jakiś czas i wtedy o wszystkim porozmawiamy. Z trudem zdobyłam Twój adres i bardzo Cię proszę odpisz mi zaraz. Chce wiedzieć jak żyjesz, czy się uczysz, jak Ci się powodzi, jakie masz plany na przyszłość. Słowem wszystko, co Ciebie dotyczy. I przyślij mi swoją fotografię. Koniecznie! Nie zapomnij! Miałam zamiar wysłać Tobie dużą paczkę z pięknymi rzeczami, ale obawiam się, że zapłaciłabyś wysokie cło. Lepiej będzie poczekać do mojego przyjazdu, wtedy niczego Ci nie zabraknie. My z mężem mamy duży dom mody w Chicago i dobrze nam się powodzi. Na razie ściskam Cię serdecznie i czekam na odpowiedź. Ucałowania od mojej córki Marysi i pozdrowienia od męża. Pozdrów też panią Kuleszową.

Zofia Julicka

Oleńka odczytuje list kilkakrotnie. Co to wszystko znaczy? Jakaś mistyfikacja? Kim jest ta Zofia Julicka? Nigdy nie słyszałam tego nazwiska. Skąd to nagle zainteresowanie osobą Oleńki? „Nie mogę Ci w liście wyjaśnić kim jestem...” Zagadkowa, tajemnicza sprawa! Zupełnie ja w powieści... Może mama ma krewnych w Ameryce – jakąs siostrę, ciotkę? Ale dlaczego nigdy o tym nie wspominała? Może pokłóciła się z nią? Tak, na pewno coś

w tym rodzaju. Wyobraźnia Oleńki zaczyna pracować. Matka musiała mieć siostrę, która swego czasu coś nabroiła, może skompromitowała rodzinę jakimś brzydkim postępkim, więc się jej wyrzekli. Siostra znikła bez wieści, wszyscy o niej zapomnieli, rodzina w czasie wojny powymierała, zostały tylko one dwie – matka i Oleńka. Tymczasem marnotrawna siostra znalazła się w Ameryce, tam dorobiła się majątku. Uczciwym życiem i pracą zmasała przeszłość i teraz pragnie nawiązać stosunki z nimi. Nie ma odwagi odezwać się wprost do Kuleszowej, więc chce do niej trafić przez Oleńkę. Żeby Oleńka przygotowała grunt do zgody, żeby wpłynęła na matkę. Widocznie bardzo ostro stanęły między nimi sprawy, jeżeli nawet w liście do Oleńki nazywa jej matkę „panią Kuleszową”. Ale Oleńka da sobie radę. Pogodzi skłócone siostry (to na pewno siostry!), przecież matka wszystko zrobi dla swojej „córuchny”. To wspaniałe mieć bogatą ciotkę w Ameryce! Już w liście zapowiada, że gdy przyjedzie, nic im nie będzie brakowało. A może zabierze je do Ameryki, do siebie? Tam urządzi im życie wspaniałe, luksusowe, o jakim Oleńka zawsze marzyła. Dziewczyna w podnieceniu krąży po mieszkaniu. Nie może doczekać się powrotu matki z fabryki. To ci będzie miała niespodziankę! Może nawet ucieszy się, bo przecież jest bardzo uczuciowa i wiadomość, że ktoś z rodziny żyje, będzie wielką pociechą. Czas osłabił, albo zupełnie przekreślił dawne urazy. Jeżeli nigdy nie wspomina o siostrze, to dlatego, że nie chce dotykać bolącej rany. A wiadomość, że siostra żyje, prowadzi uczciwe, dostatnie życie, ma męża, córkę – musi jej sprawić radość. Oleńka nie wątpi, że będzie miała łatwe zadanie. Dziś, zaraz jak tylko matka wróci, musi jej powiedzieć. Ale nie od razu, bo silniejsze wzruszenie może zaszkodzić. Trzeba ją przygotować ostrożnie. Dziewczynę rozsadza radość, jest przepełniona szczęściem po brzegi. Przecież całe życie może odmienić taka bogata „amerykańska” ciotka! Cóż to dla niej znaczy sypnąć dolarami, stać się dobrą wróżką dla młodziutkiej siostrzeniczki. Ma dom mody w Chicago... Jakie

tam muszą być stroje! Tak, teraz na pewno koniec z klepaniem biedy!

— • — • — • —

– Czy mama miała siostrę? – Oleńka pilnie przygląda się krzątającej się po kuchni matce. Kuleszowa przecząco potrząsa głową.

– Nie, miałam tylko brata, ale wiesz, że wujek zginął we wrześniu trzydziestego dziewiątego roku...

– Wiem, wiem – niecierpliwiła się Oleńka – ale mnie chodzi o siostrę. Czy mama naprawdę nigdy nie miała siostry?

Kuleszowa jest zdziwiona: – co ci, córuchno, do głowy przyszło z tą siostrą? Mówię ci, że nigdy nie miałam.

– Więc może kuzynkę albo inną bliską krewną?

– Rodzina nasza była nieliczna. Owszem, miałam kiedyś dalekie kuzynki – dziesiąta woda po kisielu – ale wszystko wyginęło w czasie wojny. Zresztą i przedtym nie było między nami bliższych stosunków. One w innym mieście mieszkały, ja w innym. Rzadko kiedy widywałyśmy się. Pisywałyśmy do siebie tylko życzenia na święta.

– A nazwiska Julicka mama nie słyszała?

Kuleszowa zamyśla się: – Julicka... Julicka... Nie, na pewno nie słyszałam. Tyle jest szczerego zdziwienia w jej głosie, że Oleńka nie może wątpić w prawdziwość słów matki. No cóż, nazwisko niczego nie dowodzi. Tajemnicza krewna jest przecież mężatką, zmieniła więc nazwisko.

– A może ojciec miał siostrę? (prawda, przecież to również dobrze może być krewna ze strony ojca – że też od razu o tym nie pomyślałam!)

– Co ty dziś, córuchno, z tymi siostrami? – śmieje się dobrodusznie Kuleszowa. – Owszem, tatuś miał dwie siostry. Starsza – Kasia zmarła w czasie okupacji na zapalenie płuc, a Krysia dostała się do obozu i tam podobno zginęła.

– Krysia? – Teraz imię się nie zgadza, ale to nic. – Czy mama wie na pewno, że zginęła? Czy nie mogła na przykład wydostać się z obozu i trafić

do Ameryki, tam zmienić imię i nazwisko... Życ pod przybranym?...

– Co ty za bajki dziś opowiadasz, Olutka! po co miałyby żyć pod przybranym nazwiskiem? Ej, nabijasz się z matki! Nie wiesz już co wymyśleć!

– Otrzymałam dziś bardzo dziwny list – mówi Oleńka powoli. – Z Ameryki... od niejakiej Zofii Julickiej.

Kuleszowa zatrzymuje się nagle jak wryta. Jej twarz staje się blada, w oczach miga niepokój, rozpaczliwy niepokój zapędzonego w matnie zwierzęcia. – Zofia... Zofia Julicka... Z Ameryki...

– I czegoż ona chce od ciebie? – pyta głucho.

– A więc mama zna te kobietę! – wykrzykuje Oleńka z tryumfem i podaje matce list: – niech mama czyta.

Drżącymi rękami Kuleszowa wkłada okulary, bierze list powoli, ostrożnie, jakby krył w sobie jakąś zasadzkę i czyta go długo, długo...

– No i co? Kim jest ta kobieta? Czy mama mi teraz powie?

Kuleszowa składa list i oddaje Oleńce. Twarz ma jak wykutą z kamienia, oczy jakieś puste i dalekie. – Nic ci nie mam do powiedzenia – mówi twardo – nie znam tej kobiety!

Coś dziwnego jest w jej głosie, po raz pierwszy brzmi ostro, prawie szorstko. Nigdy takim tonem nie przemawiała jeszcze do swojej „córuchny” i po raz pierwszy wygadana Oleńka nie znajduje słów, wobec tej kategorycznej odprawy.

– Czy mam odpisać na ten list? – pyta po chwili pokornie.

– Jak chcesz – brzmi chłodna odpowiedź – jesteś już dorosła, rób jak będziesz uważała.

Oleńka milcząc wychodzi z kuchni. Przy drzwiach odwraca się i widzi, że Kuleszowa ociera oczy fartuchem.

— • — • — • —

Szanowna Pani!

List otrzymałam i przyznam się, że mocno mnie zaintrygował. Rzeczywiście nazwisko Pani nie jest nam znane, a ja nawet nie potrafię domyśleć się kim Pani jest i dlaczego interesuje się mną. Mama nie udzieliła mi żadnych w tym względzie informacji i w ogóle nie chce rozmawiać na ten temat. Bardzo proszę o bliższe wyjaśnienia, bo nie lubię zagadek. Co do mnie – uczę się, wiosną zdaję maturę, a potem wybieram się na Politechnikę na wydział Inżynierii Sanitarnej. Mama pracuje w fabryce, nasze warunki materialne w Pani pojęciu na pewno są bardzo skromne, ale biedy nie mamy, bo matka robi wszystko co w jej mocy, żeby zapewnić mi maksimum wygód. Co do obiecowanej przez Panią pomocy – bardzo dziękuję, ale musiałabym wiedzieć od kogo ją przyjmuję i z jakiego tytułu. Załączam swoje ostatnie zdjęcie i pozdrawiam Panią oraz całą Jej Rodzinę.

Z poważaniem

Oleńka Kuleszówna

Oleńka z zadowoleniem odczytuje swój list. Tak będzie dobrze. Powściągliwie i taktownie. Niech nie myśli ta Julicka, że ktoś od razu poleci na jej majątek i zechce ją wykorzystać. Ona, Oleńka ma swoją dumę, swoją ambicję. Niewiadomo co to za jedna, skoro matka tak jest na nią zawzięta. Bo, że wie coś o Julickiej – to nie ulega wątpliwości. Istnieją między nimi jakieś powiązania i chyba niezbyt przyjemne. Matka bardzo zmieniła się ostatnio – przybladła, zmizerniała, znikł gdzieś jej pogodny, dobry uśmiech. Przy domowych zajęciach rusza się jakoś ospale, czasem stanie i zamyśli się tak głęboko, jakby spała z otwartymi oczami.

Kilka razy zastała ją Oleńka płaczącą, innym razem cały dzień narzekała na serce, czego nigdy przedtem nie robiła. Nawet wieczorem położyła się wcześniej, nie kończąc rozpoczętej roboty, co było już zupełnie nieprawdopodobnym wydarzeniem. W stosunku do córki jest nierówna: czasem czuła i troskliwa bardziej niż kiedykolwiek, czasem chłodna, obojętna, prawie opryskliwa. O Zofii Julskiej i zagadkowym liście w ogóle nie chce mówić. Jak tylko dziewczyna poruszy ten temat – zacina się w milczeniu.

Oleńka dusi się chwilami w tej ciężkiej atmosferze pełnej napięcia, tajemnic i niedomówień. Długo zastanawiała się, czy ma odpisać na list Julskiej. Wreszcie dochodzi do wniosku, że jedynie stamtąd może oczekiwać jakichś wyjaśnień i jest zdecydowana prosić o nie.

List zostaje wysłany i zaczynają się długie dni oczekiwania.

Mija miesiąc i oto pewnego dnia przychodzi krótka wiadomość od Zofii Julskiej, że jest w drodze do Polski, że wkrótce się zobaczą i wszystko wtedy zostanie wyjaśnione. Gdy Oleńka pokazuje matce ten drugi z kolei list, Kuleszowa robi wrażenie człowieka, któremu odczytano wyrok śmierci. Zwraca go Oleńce bez słowa, tylko oczy jej są pełne męki i rozpacz.

– Czy i teraz nic mi mama nie powie? – pyta Oleńka. I znowu pada odpowiedź: – nie mam nic do powiedzenia!

— • — • — • —

Pewnej soboty Kuleszowa wraca z fabryki z zaczerwienionymi oczami, zupełnie załamana. Z jakąś pasją zabiera się do codziennej domowej roboty, ale wszystko dosłownie leci jej z rąk. Chwilami nagle przerywa pracę i z jakąś rozpaczliwą czułością zaczyna ścisnąć i tulić Oleńkę, chociaż nigdy tego nie robi, wiedząc, że dziewczyna „nie znosi sentymentów”. Tym razem jednak jest tak zaskoczona niezwykłym zachowaniem matki i jej mizernym wyglądem, że nie zdobywa się na protest.

– Czy mama jest chora? Niech się mama położy – mówi wyjątkowo łagodnie.

– Nie, nie – potrząsa głową Kuleszowa – mam jeszcze dużo roboty. Ostrożnie, delikatnie jak drogocenny skarb wyjmuję z szafy sukienki i bielelizną córki. Przegląda każdą szmatkę, prasuje starannie, przyszywa jakies brakujące guziki, jakąś odprutą koronkę.

– Mama źle się czuje, po co mama robi akurat dziś taki generalny przegląd mojej garderoby? – irytuje się Oleńka.

Kuleszowa uśmiecha się smutnie i nic nie odpowiada.

Wieczorem, gdy Oleńka już ułożyła się do snu na swoim tapczanie, Kuleszowa siada przy niej, bierze w swoje twarde spracowane dłonie ręce córki i długo, długo patrzy na nią oczami pełnymi łez.

– Mamo, czy mama w końcu powie mi co jej jest? Co się tu dzieje? – woła Oleńka z rozpaczą.

– Tak – brzmi cicha odpowiedź – teraz muszę powiedzieć wszystko...

Chwila milczenia. Oleńce tłucze się serce, czuje, że zaraz stanie się coś straszego.

– Córuchno, Oleńko – mówi wreszcie Kuleszowa czule – widzisz... jutro się rozstajemy na zawsze...

– Co-o-o?! – Oleńka siada na tapczanie – co za bzdury mama opowiada? Co się stało? Dlaczego?

– Dziecino moja, przyjechała Zofia Julicka, była dziś u mnie w fabryce, chciała od razu tu przyjść, ale uprosiłam sobie czas do jutra...

– Przyjechała? No, to cóż z tego? Przyjdzie – to ją przyjmiemy, ale dlaczego mamy się rozstawać z tego powodu?

– Oleńko, ta Zofia Julicka... to... twoja matka!...

Dziewczyna ma wrażenie, że sufit spadł jej na głowę. Nie jest skłonna do hysterii, ale w tej chwili gotowa jest śmiać się i płakać, wyć jak pies.

– Co mama mówi? Jak to możliwe? Ja nic nie rozumiem! Niech mama mnie nie męczy, niech wszystko opowie, bo zwariuję!

– Opowiem, wszystko opowiem. Ona mnie nie oszczędziła – złamała

przysięgę, wyciągnęła rękę po mój najdroższy, jedyny skarb, ja też nie muszę ją oszczędzać. Powiem ci całą prawdę, wszystko jak było...

Kuleszowa oddycha ciężko, przyciska ręką rozkołatanę serce, potem zaczyna opowiadać krótkimi, urywanymi zdaniami.

– To było zaraz po wojnie. W końcu 1945 roku. Mąż umarł na kilka miesięcy przedtem... Zostałam zupełnie sama... Rodzina wyginęła za okupacji... Dzieci nie mieliśmy, choć bardzo pragnęłam mieć... Mieszkałam wtedy w małym miasteczku pod Białymstokiem. W tym czasie dużo ludzi wyjeżdżało na Ziemię Odzyskaną. Zdecydowałam się jechać też... Byle dalej, byle uciec od wspomnień... Wieczorem w wigilię wyjazdu poszłam pożegnać jedyną życzliwą osobę – dawną koleżankę szkolną... Akuszerkę... U niej spotkałam twoją matkę... Nazywała się wtedy Zosia Milewicz... Była jakąś daleką krewną tej mojej koleżanki... Właśnie urodziła córeczkę... ciebie... Była w rozpacz, bo ojciec twój ją opuścił... Ona, jak twierdziła, miała możliwość przedostać się za granicę – marzyła o tym od dawna... a kiedy nadarzała się okazja – ty stanęłaś na przeszkodzie. „Gdzie ruszę się z niemowlakiem” – płakała – „Nie przedostanę się przez granicę. Zresztą co pocznę z takim maleństwem wśród obcych. Gdzie dostane pracę?” „Lepiej byłoby, żeby zmarło zanim przyszło na świat. Podrzucę chyba gdzieś po drodze, nie chcę żeby mi życie zawiązało!” Słuchałam tych wyrzekań, patrzyłam na ciebie, taką maleńką, bezbronną i serce mi się krajało. „Niech pani mnie odda” powiedziałam – „wezmę za swoje, wychowam... Zawsze marzyłam o dziecku”. A ona znowu w płacz, po rękach mnie całuje: „z nieba mi pani spadła!” „Ale – powiadam – jeden warunek – wyrzeknie się pani raz na zawsze dziecka i nigdy się o nie nie upomni.” Przystąpiła z radością, bez namysłu, przysięgę uroczystą złożyła... Na piśmie zobowiązanie dała... Mam ten świstek do dziś... No i wzięłam ciebie. Akuszerka zaświadczenie napisała, że niby ja urodziłam. Na drugi dzień wyjechałam z tobą na Ziemię Odzyskaną. Nikt

mnie tu nie znał... Nikomu do głowy nie przyszło, że nie moje dziecko. Z koleżanką-akuszerką korespondowałam jakiś czas. Od niej dowiedziałam się, że Zośka za granicę się przedostała, że nieźle sobie radzi i wracać nie ma zamiaru. Że za męża się wybiera... Potem ta koleżanka umarła i już nikt oprócz mnie i Zośki o niczym nie mógł wiedzieć. Byłam więc spokojna. Aż teraz jak grom z jasnego nieba. Odezwała się, przyjechała i upomina się o ciebie. „Byłam wtedy młoda, głupia” mówi – „w ciężkich warunkach materialnych, nie miałam innego wyjścia. A teraz mam dość pieniędzy, mogę mojemu dziecku urządzić wspaniałe życie. Zabiorę ją do siebie, nic jej nie będzie brakowało”. No, cóż – może ma rację. Ja nie mam prawa cię zatrzymać. Moralnego prawa. Bo chodzi o twoją przyszłość. Cóż mogę dać tobie ja – prosta kobieta o skromnym zarobkach? A przy niej – świat stanie dla ciebie otworem. Zawsze zazdrościłaś ludziom bogatym. Teraz sama będziesz bogatą, szczęśliwą... Ja ci na przeszkodzie nie stanę... Siedemnaście lat byłaś moim jedynym celem, radością, pociechą, skarbem... A teraz przyszła chwila rozstania. Nie dziw się, że mnie ciężko... Ale twoje szczęście ważniejsze dla mnie niż własny ból. Kuleszowa zamilkła zmęczona długim opowiadaniem i wzruszeniem. Oleńka leży nieruchomo i uparcie wpatruje się w sufit. Wszystko spadło na nią zbyt nieoczekiwanie. Może to tylko sen, z którego się zaraz obudzi? – Muszę to sobie przemyśleć, mam – mówi cicho – idź, połóż się, ja też spróbuję zasnąć. – Nawet nie zauważyła, że po raz pierwszy odezwała się do matki przez „ty”, a nie w trzeciej osobie, jak zwykle.

— • — • — • —

Sen jednak nie przychodzi tej nocy do skromnego mieszkania Kuleszowej. Biedna kobieta siedzi w kuchni przy oknie, zaopatrzona w wygwieżdzone niebo i z lękiem oczekuje świtu. Bo wtedy rozpocznie się pierwszy dzień straszliwej samotności. Dzień, który zapoczątkuje długie lata niepotrzebnej, bezcelowej pustki.

Oleńka też nie może zasnąć. Przewraca się z boku na bok. Poduszka pali ją, sprężyny tapczanu gniotą, a w głowie kłębią się myśli. Jak dziwnie pogmatwało się życie! Oto ona, Oleńka, nagle jak w bajce, przemienia się z Kopciuszka w królową. Może mieć wszystko o czym nieraz marzyła: piękne stroje, podróże, wspaniałe, luksusowe życie. Jej matka jest bogatą osobą. Matka... Jakie to śmieszne i smutne zarazem: ma teraz dwie matki... Ale jedną trzeba opuścić. A w gruncie rzeczy, która jest prawdziwa? Czy ta, co ją wydała na świat z niechęcią, może przekleństwem, a potem bez namysłu rzuciła w nieznane i wyrzekła się na zawsze? Czy ta druga, która kochała, pieściła, spełniała każdy kaprys, każdą zachciankę i siedemnaście lat ciężko pracowała, by stworzyć „córuchnie” najlepsze, w miarę swoich możliwości, warunki? Za którą teraz pójść? Gdzie jest jej miejsce? Dobrze jest mieć prawdziwą, rodzoną matkę i wieść przy jej boku dostatnie wygodne życie. Ale jak porzucić tę kobietę, do której tyle lat mówiło się „mamo” i z którą związało się uczuciowo? Bo chociaż Oleńka nieraz wstydziała się nieładnej, zaniedbanej matki, choć zawsze pozowała na osobę nieskłoną do sentymentów, jednak co tu ukrywać przed sobą, nie może przecież nie kochać tej dobrej, oddanej bez granic, kobiety. Jak ona teraz musi cierpieć! I z jaki heroizmem składa siebie w ofierze dla szczęścia swojej „córuchny”! Oleńka rzuca się na posłaniu i gryzie ręce z rozpacz. Dlaczego los postawił ją wobec tak trudnych problemów? I co przyniesie nadchodzący dzień? Jaką powziąć decyzję?...

— • — • — • —

- Oleńko, córeczko, dziecko moje najmilsze! – Młoda jeszcze, przystojna, bardzo elegancko ubrana kobieta tuli do siebie oszołomioną dziewczynę.
- Zawiniłam wobec ciebie, córeczko, ale chcę teraz wszystko naprawić. Zabieram cię ze sobą. Na razie do hotelu. W nocy wyjedziemy do Warszawy, tam pozostaniemy jakiś czas zanim załatwię wszystkie niezbędne formalności. Potem zwiedzimy Polskę, wystroję cię jak laleczkę

i zabiorę do Ameryki. Mamy tam piękne mieszkanie, własny samochód, będziesz miała wszystko, czego dusza zapagnie. Twoja przyrodnia siostra i ojczym oczekują cię z niecierpliwością. Zobaczysz jak dobrze i wesoło będzie ci z nami. Rozpoczniesz nowe życie. Jesteś śliczną dziewczyną, Oleńko, a tu marnujesz się w tej nędzy. Nie dla ciebie takie warunki.

Oleńka, zalewana potokiem słów Zofii Julickiej, dyskretnie stara się uwolnić z miękkich, pachnących drogimi perfumami objęć.

Dziwne! Jak nic nie drgnęło jej serce na widok tej obcej – tak – obcej kobiety. Nie odczuwa żadnego wzruszenia, tylko przykrość i skrępowanie.

A Julicka mówi dalej: – wiem, że pani Kuleszowa bardzo dużo dla ciebie zrobiła i jestem jej ogromnie wdzięczna. Postaram się spłacić mój dług.

A to na razie... – Wyciąga z torebki plik banknotów i kładzie na stole przy którym, podpierając rękami czoło, siedzi Kuleszowa, blada i milcząca jak posąg. Oleńka widzi jak przybrana matka podnosi na Julicką bezgranicznie smutne oczy, a potem stanowczym ruchem odsuwa od siebie pieniądze. – Niech pani, to zaraz weźmie z powrotem! Za to, co mi pani zabiera, nie ma ceny! Tego się nie da zapłacić!

Julicka, trochę zmieszana, chowa pieniądze do torebki: – nie chciałam pani obrazić... Ale koszty wychowania...

– Nic panią nie obchodzą. Nie wzięłam zresztą dziecka na wychowanie. Po prostu była moją... Otrzymałam ją od pani na własność...

Julicka kręci się niespokojnie i nie wie co odpowiedzieć. Po chwili znowu zwraca się do Oleńki: – ubieraj się, dziecko, podziękuj pani Kuleszowej za wszystko co dla ciebie zrobiła i chodź już. – Znowu obejmuje ją wpół, ale dziewczyna prawie wyrywa się z ramion Julickiej i powoli zbliża się do Kuleszowej. Ta siedzi nadal nieruchomo. Duże, ciemne dłonie leżą bezsilnie na kolanach. Oczy są pełne bólu i łez.

– Nie – mówi cicho Oleńka – nie, proszę pani, ja nigdzie stąd nie pójdę!

– Oleńko, co mówisz? I dlaczego nazywasz mnie panią? Przecież jestem

twoją matką!

Wtedy w Oleńce zrywa się nagły, niespodziewany dla niej samej bunt. – Matka! – wykrzykuje z pasją – matka, która oddała mnie jak szczeniaka, która formalnie, na piśmie, zrzekła się mnie na zawsze, która przez siedemnaście lat nie zatroszczyła się o to, czy żyję, czy mnie nie spotkała krzywda!? Dopiero, gdy zaczęła opływać w dostatki poczuła wyrzuty sumienia i przypomniała sobie o moim istnieniu! Matka! Czym pani zasłużyła na taki tytuł najpiękniejszy, najczystszy, najświętszy?! Tym, że przeklinając wydała mnie na świat? Nawet zwierzę dba o swoje małe i chroni przed krzywdą. I po tym wszystkim chce mnie pani teraz kupić za fatałachy, za samochód i inne cuda, może jedynie dla chwilowej fantazji, jak się kupuje nową zabawkę! Nie! Matką moją jest ta kobieta, która mną się opiekowała, wychowała, pieściła, która na mnie pracowała i oddała mi swoje najlepsze lata i najbardziej kochające serce, śmiertelnie zranione dziś przez panią!

Ona mi jest bliską i drogą, a pani – obcą kobietą. Pani ma wszystko: pieniądze, dostatek, młodość, męża, córkę i jeszcze sięgnęła po jedyny skarb biedaka. Ale nic z tego! Niech pani sama wraca do swoich amerykańskich rozkoszy – moje miejsce jest tu!

W nagłej ciszy, jaka zapadła po tym wybuchu, słychać tylko szloch Julickiej i łzawy szept Kuleszowej: – Oleńko! Oleńko!

– Jesteś okrutna, okrutna! – szlochała Julicka.

– Pani też była okrutna...

– Wiem, rozumiem... Młodość jest bezwzględna... Nie potrafi przebaczać...

Oleńka stopniowo uspakaja się i łagodnieje. – Ależ tak, przebaczam pani, przebaczam z całego serca! A wie pani dlaczego? Bo winę pani wobec mnie zmasała ta oto kobieta, której pani chciała zapłacić za mnie. Ona wzięła na siebie dobrowolnie ciężar macierzyńskich obowiązków, trosk i poświęceń. Ona sprawiła, że postępek pani nie zaciążył na moim dzieciń-

stwie i młodości. Ona stworzyła mi ciepłe ognisko domowe i jej zawdzięcza pani moje zupełne, szczere przebaczenie. A jeżeli uniosłam się trochę i sprawiłam pani przykrość – przepraszam. To stało się mimowoli...

Julicka ociera oczy chusteczką: – Nic... nic... To słuszna, zasłużona kara!... No, cóż – żegnaj, Oleńko, pragnęłam naprawić swój błąd... Okazuje się, że za późno... Czy mogę cię przynajmniej ucałować na pożegnanie?

Oleńka tym razem bez oporu daje się uściskać.

– I jeszcze jedno: – przywiozłam ze sobą trochę ładnych sukienek, płaszcz i inne takie fatalaszki, żeby cię na razie przyodziać. Mam to wszystko w hotelu. Przyślę ci przez posłańca. Przyjmiesz, prawda? Przynajmniej tyle zrobisz dla mnie?

Tyle jest nieśmiałej prośby w głosie i oczach Julickiej, że Oleńka mięknie. Zresztą jest przecież tylko młodą dziewczyną, którą nęcą ładne szmatki.

– Dobrze – mówi wreszcie i dodaje po chwili – dziękuję.

– A jeśli ty, albo... twoja... mama będziecie potrzebowały jakiegokolwiek pomocy, to pamiętaj, że masz we mnie co najmniej przyjaciółkę – kończy Julicka, ściska jeszcze raz Oleńkę i zwraca się do Kuleszowej: – do widzenia, a raczej żegnam panią i jeszcze raz dziękuję za wszystko... I przepraszam, że wdarłam się w wasze życie... Zazdroszczę pani: jest pani chyba bogatsza ode mnie!...

Kiedy drzwi zamykają się za Zofią Julicką, Kuleszowa podnosi na Oleńkę wzruszone, pełne łez oczy? – Córuchno moja, coś ty zrobiła najlepszego? Odrzucić taki los! Czy wolno mi przyjąć twoją ofiarę?

– To nie jest ofiara – mówi Oleńka swoim zwykłym, rzeczowym tonem – ta kobieta jest mi zupełnie obca, nigdy nie potrafiłabym żyć z nią. Nie chcę też wyjeżdżać do Ameryki, bo nie umiałabym żyć z dala od Polski i... od ciebie, mamo. Przemyślałam sobie to wszystko w nocy i powzięłam decyzję, a spotkanie z panią Julicką utwierdziło mnie w moim postanowieniu.

– I nie będziesz żałować? – po twarzy Kuleszowej łyzy teraz biegną strumieniem, Oleńka podchodzi do niej, przyklęka, przyciska do ust twarde, szorstkie dłonie i mówi tak czule, jak od czasów dzieciństwa nie mówiła do matki: – mamusiu moja, jedyna! Jestem wstrętny pyskacz, jestem nic dobrego, ale ja nigdy – pamiętaj – nigdy ciebie nie opuszczę!

Część VI

Iza zirytowana gwałtownym ruchem przekręca wyłącznik w telewizorze – znowu nic nie ma! Gadają, gadają i gadają bez przerwy!

– Istotnie, programy bardzo popsuły się od jakiegoś czasu – przyznaje pani Helena – ale złościem się i irytacją nic nie wskóramy.

– Przecież płaci się czterdzieści złotych miesięcznie. Czy za te pieniądze nie można żądać uczciwego programu?

– A ile pieniędzy i kłopotów kosztował sam odbiornik – wzdycha pani Helena. – Półtora roku ciągnęły się za mną raty. Nigdy bym nie zdecydowała się na taki wydatek, gdyby nie twoje prośby i molestowania.

– Ale widzisz, jakoś raty się spłaciło i mebel jest, tylko że pożytku z niego niewiele. W ciągu całego tygodnia z biedą wyłowisz jedną-dwie ciekawsze pozycje.

– Czy odrobiłaś wszystko na jutro? – pyta pani Helena po chwili milczenia.

– Jeszcze tylko zostało zadanie domowe z polskiego. Ale to mi nie zajmie dużo czasu. Temat dowolny – może być fantazja, może coś z życia. Wiesz – dodaje po chwili – mam myśl! Napiszę coś o perypetiach z telewizorem. Przynajmniej trochę wyładuję złość. Pełna zapału do swego pomysłu pośpiesznie wyciąga i rozkłada zeszyt. – Przeczytam ci po napisaniu – obiecuje matce i zabiera się do roboty.

Po godzinie z tryumfem przynosi matce zeszyt. – Gotowe! Słuchaj uważ-

nie i powiedz czy nie mam racji.

O telewizji i tele-ofiarach

Zaczyna się całkiem niewinnie. Otóż pewna pani (może być równie dobrze pan, ale że sama jestem kobieta, łatwiej mi zgłębić psychikę mojej płci) ma przyjaciółkę. Przyjaciółka zaś ma telewizor. Hołdując zasadzie tak częstej wśród przyjaciół: mnie nabrano, mogę więc nabrać ciebie, zaczyna roztaczać przed moją bohaterką liczne rozkosze posiadania tego sprzętu. Że wygoda i przyjemność nie z tej ziemi, że nie trzeba chodzić do kina lub teatru (ile pieniędzy zaoszczędzi!), że posiadanie telewizora świadczy o kulturze i stopie życiowej danego osobnika itd. itd. Moja bohaterka śmieje się, broni, bo skądże?... To rzecz kosztowna... tyle jest potrzebniejszych wydatków... z moich skromnych zarobków ani marzyć!...

Ale marzyć zaczyna – skrycie, po cichutku, jak się marzy o wygranej w totolotka, nie mając czym opłacić kuponu.

Przyjaciółka tymczasem nie zasypia sprawy. Grzebiąc w plewach programów tygodniowych, wyławia wreszcie jakąś perełkę, coś, co upatrzonej ofierze mogłoby szczególnie przypaść do gustu i gorąco ją zaprasza do siebie „na telewizor”. Biedaczka idzie, spędza godzinę zachwytu i upojenia przed seledynowym ekranem i wraca do domu zupełnie nieprzytomna. Bakcyl telewizyjny został połknięty i choroba od tej chwili zaczyna rozwijać się normalnie.

W domu toczą się niekończące się dyskusje, w których wszyscy zgodnie dochodzą do wniosku, że posiadanie telewizora to awans społeczny i ogromna wygoda: muzyka, kino, teatr, sport i wszelkiego rodzaju aktualności na miejscu, bez żadnych kłopotów i kosztów. A dzieci jak rozwijają się i korzystają przy telewizorze! Pani domu zaraża połkniętym bakcylem całą rodzinę. Ale marzenia i dyskusje nie przyoblekły realnego kształtu. Bo niby skąd wziąć pieniądze na tę pierwszą, największą ratę (o kupnie za

gotówkę nie ma co marzyć!) i jak poradzić sobie z domowym budżetem przez długie osiemnaście miesięcy spłacania następnych rat?

Pani domu zaczyna gorączkowo kombinować: butom męża wystarczy tylko dać na zelówki – są jeszcze zupełnie dobre, nie musi kupować nowych. Ona sama obejdzie się bez zimowego płaszcz – stary wygląda wcale nieźle, posłuży jeszcze parę lat. Codzienne domowe wydatki okroi się do minimum. Trudno, gdy się chce mieć jak inni ludzie porządną rzecz w domu, można przez jakiś czas jadać skromniejsze obiady!

Decyzja została powzięta, marzenia stają się coraz bardziej konkretne. Po nocach śnią się „Szmaragdy”, „Korale”, „Turkusy” i inna tego rodzaju biżuteria. W dzień przystaje się przed wystawami salonów telewizyjnych: ten? a może ten? Szarpnąć się na droższy (raz kozie śmierć) czy zadowolić się tańszym?

Wreszcie przychodzi wielki dzień: gotówka na pierwszą ratę uciulana! Ofiara telewizyjnej choroby dostaje wysokiej gorączki. Zdobywa blankiety w ORS-ie, oblatuje wszystkich swoich kierowników w biurze, zbiera podpisy, wreszcie zaczyna się polowanie na żyrantów. Sprawa skomplikowana, bo wszyscy kandydaci albo się już nabrali przy żyrowaniu, albo są za ostrożni, żeby się dać nabrać. Każdy się wymawia jak może. Ten już sam płaci raty, tamten nie ma czasu wystawać w ORS-ie, inny zgubił dowód osobisty itd. itd.

Wreszcie dwie litościwe dusze dają się ubłagać na klęczkach i przekupić słodką obietnicą: „jak pan (pani) będzie potrzebował, to proszę na mnie liczyć”. Tele-ofiara uradowana idzie więc z żyrantami do ORS-u, poci się i mdleje w ścisku, w długiej jak wieczność kolejce, wreszcie na wpeł udużona, z biciem serca załatwia ostateczne formalności i wylatuje na skrzydłach szczęścia z kuponem uprawniającym do nabycia wymarzonego telewizora. Pędzi do Salonu Telewizyjnego i tu pierwsze rozczarowanie: telewizorów chwilowo nie ma. „Były ale wyszły”, będą lada dzień. „Proszę się

stale dowiadywać, może przyjść niewielka ilość, ludzie rzucają się i w ciągu paru godzin rozkupią” informuje uprzejmy pan z Salonu. Ofiara telewizyjnej choroby nie śpi po nocach, w dzień biega po kilkanaście razy „dowiadywać się”, zwalnia się z pracy „na pół godzinki w ważnej sprawie”, żeby tylko nie przegapić odpowiedniej chwili. Na każdego przechodnia idącego w kierunku ulicy, przy której mieści się Salon, patrzy ze wstrętem, jak na osobistego wroga, który śpieszy, żeby ją uprzedzić i sprzątnąć z przed nosa upragniony telewizor. W końcu wytrwałość zostaje nagrodzona. Pewnego dnia dyżurujące pod Salonem Telewizyjnym dzieci (w kącie poszły lekcje, piłka i inne zajęcia) wpadają do mieszkania z bojowym okrzykiem: „są telewizory!”

Cała rodzina pędzi więc na łeb na szyję, długo, z nabożeństwem, wybiera upragniony sprzęt. Jeszcze jakieś drobne formalności, rozstanie z gotówką i po długim poszukiwaniu taksówki, której jak zwykle nie ma gdy jest najbardziej potrzebna, telewizor zostaje przywieziony do domu i uroczysto ulokowany na honorowym, z dawna przygotowanym miejscu. Ustawia się tymczasem antenę pokojową (na inną zabrakło już pieniędzy), pani i pan domu sprzecząc się studiują instrukcję, wreszcie z drżeniem serca włączają telewizor. Parę minut wszyscy czekają z zapartym tchem i oto z pudła wydobywa się głos, a po chwili na ekranie zarysowuje się postać. Wtedy żywiołowa radość ogarnia obecnych. Dzieci skaczą i klaszczą w dłonie, przybyłe na „uroczyste otwarcie telewizora” ciotki i sąsiedzi, którzy jeszcze nie dorobili się tego cudu techniki, otwierają oczy i usta coraz szerzej. Pani i pan domu są dumni i szczęśliwi. A wszyscy wpatrują się w ekran z podziwem i wzruszeniem. Na ekranie wprawdzie nic się nie dzieje: jakiś nudnawy pan rozwlekle i nieciekawie próbuje o czymś przekonać telewidzów, ale czy to ważne? Nowi nabywcy telewizora witają pana na ekranie jak najmilszego gościa. Podziwiają jego krawat, marynarkę, łysiejące czoło, wpatrują się z zachwytem w poruszające się usta,

z których ślimaczo ciągną się jakieś bardzo mętne i zawiłe zdania.

Cała rodzina kładzie się spać tego wieczora bardzo późno, zmęczeni wrażeniami i gorączką ostatnich dni.

Teraz koniec utrapień! Najgorsze już minęło! Przed nimi tylko długie jesienne wieczory rozkoszy przed ekranem!

O, jakże mylą się naiwne ofiary ludzkiej przewrotności, która złośliwie zastrzyknęła im telewizyjny bakcyl! Utrapienia dopiero się zaczęły. Bo oto już na drugi dzień, gdy przed telewizorem zebrała się cała rodzina i kilkanaście osób przybyłych gości, w pudle coś zacharczało, zaburczało, zaskrzypiało, obraz na ekranie dostał nerwowych drgawek i... znikł. Żadne, najbardziej zgodne z instrukcją manipulacje gałkami nie zdołały go wyczarować z powrotem. Goście rozchodzą się rozczarowani, a wtedy w domu wybucha awantura. Pani domu zarzuca panu, że nie umie obchodzić się z tak delikatnym sprzętem. Pan domu obraża się i irytuje na żonę za brak zaufania do jego umiejętności. Potem oboje wpadają na dzieci, że to ich sprawka, że musiały coś „kręcić” i „majstrować” przy telewizorze. Dzieci uderzają w ryk i dostają w skórę, więc ryczą jeszcze głośniej. Wszyscy idą spać wcześniej, ale w okropnych humorach, pocieszając się tym, że w okresie gwarancji z naprawą nie będzie kłopotu. Wystarczy jutro zgłosić w SOT-cie, przyjdzie technik i naprawi. Ale na drugi dzień w SOT-cie odpowiadają bardzo uprzejmie, że techników jest mało i są tak zawałeni pracą, że trzeba poczekać około dwóch tygodni. Jednak wobec szczerej rozpaczki i zaklęć tele-ofiary, mięknie serce przyjmującego zgłoszenia i zgadza się przysłać technika nazajutrz, ale w godzinach przedpołudniowych, kiedy jest mniej zapotrzebowań, bo ludzie są w pracy i mieszkania zamknięte. Pan domu zwalnia się więc w biurze, a że pani nie jest pewna czy to mu się uda, więc na wszelki wypadek, zwalnia się również. Oboje siedzą w domu do godziny drugiej, bo dopiero wtedy zjawia się upragniony technik, witany jak okręt przez

rozbitków na bezludnej wyspie. Technik pobłażliwie i wyrozumiale uśmiechnie się, coś majstruje przez pięć minut, potem oświadcza, że wszystko w porządku, wymienił przepalony opornik, zbiera narzędzia i wychodzi żegnany podziękowaniami.

Telewizor działa bez zarzutu przez całe dwa dni. Potem znów „wysiada”. I zaczyna się gehenna tele-ofiar. Telewizor psuje się regularnie raz w tygodniu, przeważnie (przysłowiowa złośliwość przedmiotów martwych) w czasie najciekawszych programów lub przed ich rozpoczęciem. I wtedy cała kołomyjka zaczyna się od nowa. Awantura w domu, zgłaszanie w SOT-cie, zwalnianie się z pracy (kierownik patrzy coraz krzywiej na te częste „ważne sprawy rodzinne”), wyczekiwanie na technika. Potem parę dni błogiego wypoczynku i nieziemskich rozkoszy przed seledynowym ekranem i... nowa kolejna „wysiadka” cudu techniki. W końcu cała rodzina wpada w chorobę nerwową. Nawet radość tych nielicznych dni, gdy telewizor działa, jest zatruta niepokojem. Oglądając najciekawszy program czekają z zamierającym sercem, czy nie zgaśnie zaraz ekran, czy nie umilknie głos. Każde, tak częste niestety, „zakłócenia w odbiorze” są przyjmowane okrzykiem przerażenia i rozpacz, a plansze wyjaśniające, że to tylko „usterki techniczne”, witane westchnieniem ulgi.

Czas mija... Raty się spłaciło... Przed upływem gwarancji telewizor poszedł do SOTu na gruntowny kilkudniowy remont, z którego wrócił w nieco lepszym stanie. Psuje się już tylko raz na miesiąc.

Nasze tele-ofiary zżyły się z rolą posiadaczy tego kosztownego sprzętu. Już nie oglądają programu „jak leci”, od początku do końca, tylko zaczynają wybierać bardziej interesujące pozycje. I wtedy okazuje się, że właściwie nie ma z czego wybierać. Filmy – stare, wyciągnięte z lamusa, ziejące nudą, bardzo często zupełnie niewidzialne (ciemny ekran i przesuwające się po nim jaśniejsze kontury). Sztuki – albo przedpotopowe ponure dramidła, albo staroświeckie komedyjki o zawsze podobnej treści i humorze

niezdolnym rozśmieszyć dzisiejszej publiczności. Czasem dla odmiany coś super nowoczesnego i niezrozumiałego dla przeciętnego telewidza (a może i autora?). Programy rozrywkowe mają tę zaletę, że działają usypiająco. Ale nawet tych wszystkich pozycji jest stosunkowo niewiele, z wyjątkiem „chałowych” filmów. Za to cała masa reportaży i sprawozdań z pracy w zakładach przemysłowych, osiągnięć, narad roboczych, programów publicystycznych, wykładów wszechniczy i innych podobnych a polegających na tym, że ktoś ulokuje się na ekranie i głądzi, głądzi, głądzi bez końca. Telewidzowi o najmocniejszych nawet nerwach, nie pozostaje nic innego jak cicho zwariować, albo wyłączyć telewizor.

Nasze tele-ofiary smętnie obliczają ile ich ta przyjemność kosztuje: odbior-
nik na raty z kosztami manipulacyjnymi, antena, opłata miesięczna, taksów-
wki (przewozy do SOTu i z powrotem), naprawy po upływie gwarancji...
A ile nerwów, ile zdrowia się zmarnowało? I to wszystko po to, by oglądać
dzień w dzień gadających panów na ekranie!

„Wiesz co, chodź do kina” proponuje pan domu żonie. „Przecież mamy
telewizor”... oponuje słabo. Mążonek macha ręką i wyłącza rozprawiają-
cego o gospodarce rolnej pana. Potem oboje idą do kina, a żona po drodze
szuka w myślach jakiejś najlepszej przyjaciółki, którą warto byłoby namó-
wić na kupno telewizora.

— • — • — • —

No, jak? pyta Iza. Pani Helena uśmiecha się: – nieźle, zupełnie nieźle
i trzeba przyznać, że faktycznie tak jest. Dużo pieniędzy, dużo zachodu
i kłopotów, a korzyści w gruncie rzeczy niewiele. Miejmy jednak nadzieję,
że to się zmieni i programy się poprawią.

– W każdym razie wyładowałam się – mówi Iza, składając zeszyty.

– Aha, zapomniałam ci powiedzieć – odzywa się nagle pani Helena –
dostałam w biurze dwa bilety na jutro do Operetki. Grają „Kwiat Hawai”.
Jesteś zadowolona?

- Świetnie! Daj! – Iza wyciąga rękę.
- Jak to – daj? Niech będą u mnie, przecież pójdziemy razem.
- Razem? Z tobą? – twarz Izy wyraża rozczarowanie.
- Nie chcesz?
- Myślałam, że masz te dwa bilety dla mnie. Poszłabym z Oleńką albo... z Markiem. Znasz Marka – to ten chłopak, co przychodzi czasem pomagać mi w algebrze...
- A ze mną nie masz ochoty iść?
- Nie jestem małym dzieckiem, żeby chodzić za rączkę z mamusią czy inną nianią. To nudne – wiecznie ze starymi!
- Na twarzy pani Heleny odbija się przykrość. – Jak chcesz – mówi chłodno
- w takim razie pójdę z kimś innym.
- Więc nie dasz mi tych biletów?
- Nie dam, bo raz do roku należy się i mnie jakaś rozrywka. Chciałam iść z tobą, ale skoro sobie nie życzysz – poszukam innego towarzystwa.
- Iza nadąsana wychodzi do swojego pokoju, a pani Helena długo jeszcze siedzi smutna i zamyślona.

— • — • — • —

- Nazajutrz pani Helena wraca z biura bardzo późno. Ponieważ obiad przygotowała jeszcze wieczorem poprzedniego dnia, Iza i Leszek dawno już zjedli. Leszek pobiegł do kolegi, a Iza zabiera się do odrabiania zadań.
- Byłam u fryzjera – wyjaśnia pani Helena, wpadając zadyszana do pokoju
- muszę szybko zjeść obiad, pozmywać i przebrać się, bo za godzinę, wstąpi po mnie pan Zbigniew i wychodzimy do teatru.
- Iza odkłada pióro. – Jaki pan Zbigniew? – pyta podejrzliwie.
- Butrewicz, kolega biurowy, zdaje się, że go widziałaś.
- Możliwe – mruczy Iza. Przychodziła czasem do biura matki i widziała tam różnych panów, ale ktoby ich spamiętał! Pochyliła niżej głowę nad książkami i udaje bardzo zapracowaną. Jest zła na matkę. Do ostatniej

chwili łudziła się, że wydostanie od niej bilety i pójdzie z Markiem do Operetki. To by dopiero był przyjemny wieczór! Tak chciała zobaczyć „Kwiat Hawai”! I taka okazja przepadła! Niechby matka spróbowała nalegać, namawiać Izę, żeby poszła z nią, to kto wie – Iza dałaby się może przekonać. Ale pani Helena nie powróciła do tego tematu, a teraz najspokojniej w świecie wybiera się z jakimś panem Zbigniewem. Czy to w ogóle wypada, żeby jej stara matka szła do teatru z obcym gościem, niby podlotek!

– Kolacja jest przygotowana, odgrzejesz tylko, dasz Leszkowi i sama zjedz, nie czekaj na mnie – pani Helena już gotowa do wyjścia wchodzi do pokoju córki. Iza podnosi na nią zdumione oczy: czy to naprawdę matka? Przed nią stoi jeszcze zupełnie młoda i ładna kobieta. Skromna, ale elegancka czarna suknia, spięta pod szyją lśniącym klipsem, podkreśla smukłość i zgrabność sylwetki. Włosy ślicznie umyte i ułożone w modną fryzurę, połyskują ciemnym złotem przetykanym gdzie niegdzie srebrnymi nićmi wczesnej siwizny. Brwi i rzęsy lekko przyciemnione henną dodają blasku i wyrazu oczom. Na ustach odrobina delikatnej różowej szminki.

– Ależ z ciebie szałowa babka! – Iza nie może powstrzymać okrzyku uznania – i wcale nie jesteś jeszcze taka stara! – dodaje, sama szczerze zdziwiona tym odkryciem.

Pani Helena uśmiecha się: – to jest prawdziwy komplement w twoich ustach, bądź przekonana, że umiem go docenić!

Dzwonek u drzwi i do mieszkania wkracza pan Zbigniew.

Iza obrzuca go nieufnym spojrzeniem. Musi jednak przyznać, że prezentuje się wcale dobrze w czarnym wieczorowym ubraniu i śnieżno białej koszuli. Jest chyba o parę lat starszy od matki, wysoki, postawny. Twarz ma raczej przystojną i bardzo miły uśmiech ukazujący wspaniałe zęby. Leszek, który już wrócił od kolegi, przygląda mu się uważnie i z wyraźną aprobatą. Pan Zbigniew zachowuje się swobodnie i ujmująco. Ucałował

ręce pani Heleny i stwierdził, że ślicznie wygląda, przywitał się z Izą jak z osobą dorosłą, bez pobłażliwego lekceważenia, jak to zwykle robią ludzie starsi, nawet powiedział jej jakiś komplement. Z Leszkiem rozpoczął interesującą rozmowę o sporcie i filatelistyce.

Pani Helena chce zakrzętać się koło herbaty, ale pan Zbigniew spogląda na zegarek i oświadcza, że czas już iść, bo się spóźnią, a na herbatkę wpadnie innym razem.

Po ich wyjściu w mieszkaniu robi się jakoś pusto. Iza zabiera się do odgrzewania kolacji, a Leszek z Hałasem rozkłada na stole swoje książki.

– Słuchaj, Izo – mówi do siostry – jak myślisz, czy mama wyjdzie za mąż za pana Zbyszka?

– Co ty pleciesz! – oburza się dziewczyna – że raz poszła z nim do teatru, to zaraz ma wychodzić za mąż? I jaki on dla ciebie „pan Zbyszek”?

– Prosił mnie, żebym go tak nazywał – oświadcza Leszek z godnością – on bardzo mi się podoba – fajny gość! A mama przecież może wyjść za mąż, bo jest wdową.

– Przestań się wygłupiać! – krzyczy Iza. Sama nie wie dlaczego tak ją zirytowała paplanina Leszka.

Część VII

Oleńka przychodzi tego dnia do szkoły blada i wzburzona.

– Stała się rzecz okropna – mówi do Izy. – Spotkałam Jurka po drodze, wiesz, on teraz często bywa u Ziotki, pomaga jej w nauce i w ogóle w domu... Otóż mówił mi, że ojciec Ziotki po pijanemu wpadł pod samochód i został zabity na miejscu. Dziś po południu pogrzeb.

– To straszne! – Iza jest wstrząśnięta – jaki cios dla Ziotki! Bo przecież ona tego ojca kochała pomimo wszystko.

– Wiesz co myślę? Dobrze byłoby, żebyśmy wszystkie, całą klasą poszły

na pogrzeb. W ten sposób, nie słowami, tylko uczynkiem, wyrazimy nasze współczucie i jeszcze raz przeprosimy Ziutkę za tamtą historię. Trzeba też się złożyć na wieniec.

– To dobra myśl! Porozmawiaj z dziewczynkami.

W klasie tego dnia panuje niezwykle ożywienie. Na pauzach odbywają się narady. W czasie lekcji dziewczęta są roztargnione, wymieniają szeptami i karteczki. Na dużej pauzie Oleńka obchodzi koleżanki, potrząsając beretem, do którego każda, wrzuca swoje skromne oszczędności. Nawet Małgosia, choć bąka coś pod nosem, że na pogrzeb nie pójdzie bo umówiła się z narzeczonym, wrzuca do beretu dwadzieścia złotych.

Zaraz po lekcjach, prawie cała klasa, śpieszy najpierw po wieniec, a potem do kostnicy szpitalnej, skąd ma nastąpić wyprowadzenie zwłok. Przycho-
dzą na ostatnią chwilę, bo właśnie ubogi kondukt wyrusza spod bramy szpitala. Za trumną – niewielka grupka ludzi. Rysikowa z pięciorgiem dzieci, kilka kobiet – prawdopodobnie sąsiadek i czterech chłopaków: Edek, Lucek, Jurek i Marek. Edkowi towarzyszy jego „nowa babka” – drobna, czarniutka rezolutna Danusia.

Dziewczęta przyłączają się do żałobnego orszaku, a że jest ich około trzydziestu, kondukt od razu przestaje robić wrażenie samotnego i opuszczonego.

Na cmentarzu, gdy trumna zostaje już zasypana ziemią, błada zapłakana Ziutka, kładzie na grobie malutki bukiet pierwszych fiołków. Obok Iza i Oleńka składają nieśmiało duży piękny wieniec z napisem na szarfach: „ojcu naszej drogiej koleżanki – XI klasa”. Ziutka patrzy na wieniec, czyta kilkakrotnie napis, oczy zachodzą jej łzami. Potem zbliża się powoli do grupy dziewcząt. – Dziękuję wam – mówi cicho – bardzo dziękuję!

Chłopcy tymczasem odbywają cichą naradę. Iza widzi jak wyciągają coś z kieszeni i wpychają do ręki Jurkowi. Słyszy szept Marka: – to na razie, na pierwsze wydatki. Załatw to dyskretnie.

Jurek kiwa głową i przyłącza się do rodziny Rysików, żeby odprowadzić ich do domu. Dziewczęta się rozchodzą. Iza, Oleńka, Danusia i chłopcy wracają razem.

Po chwili milczenia Oleńka odzywa się pierwsza: – pomimo tej smutnej ceremonii, pomimo to, że z całego serca żal mi Ziotki, ulżyło trochę mojemu sumieniu, bo zdaje się, że Ziotka nam przebaczyła.

– Straszny koniec miał ten biedny Rysik! – wzdycha Edek.

– Widzisz, do czego doprowadza wódka – mówi pouczająco Danusia.

– Czemu do mnie to mówisz? Przecież od wieków już nie powąchałem alkoholu!

– Mnie to zawdzięczasz!

– Owszem, tobie też. Ale nie wyłącznie...

– Może nawet lepiej im będzie teraz – wypowiada Iza głośno swoje myśli.

– Rysikowa pracowita kobieta, Ziotka zda maturę i też zacznie pracować.

A przynajmniej nikt im nie przepije zarobionych pieniędzy, nikt nie będzie straszył, ani bił.

– Ale jak by nie było, odszedł bliski człowiek. Ciężko im będzie na początku.

– Trzeba pomyśleć o jakiejś pomocy dla nich.

– Poproszę mego starego, żeby znalazł dla Rysikowej stałą pracę – mówi Lucek – Ziotka w domu przygotowuje się do matury – Jurek jej pomaga, więc dzieci nie będą bez opieki.

– Zresztą można umieścić najmniejsze w żłobku, a starszego w przedszkolu – ożywia się Iza.

– Ja też mam pewną myśl – oznajmia tajemniczo Oleńka – ale na razie nikomu nic nie powiem. Zobaczymy, czy to się uda.

— • — • — • —

– Matczysko najlepsze! Co powiesz na to, jeżeli twoja marnotrawna córka napisze grzeczny liścik do pani Zofii Julickiej? – pyta pewnego dnia

Oleńka.

Kuleszowa patrzy na nią badawczo i trochę niespokojnie: – w jakiej sprawie?

Od czasu „amerykańskiej przygody” dziewczyna bardzo się zmieniła w stosunku do matki. Nie jest już opryskliwa i gburowata, nie stawia wygórowanych żądań, nie ma kosztownych kaprysów. Matkę traktuje z jakąś trochę szorstką czułością i chętnie wyręcza ją w różnych domowych zajęciach. Stara się też nie przysparzać jej żadnych zmartwień. I teraz widząc zaniepokojone spojrzenie Kuleszowej, obejmuje ją mocno i kołyszając w ramionach mówi jak do dziecka: – oj, oj, oj! I czegoż to matczysko patrzy tak nieufnie? Co znowu węszy? Uspokój się, uspokój! Sprawa, w której chcę napisać nie jest ani straszna dla ciebie, ani hańbiąca dla mnie. Zaraz ci wszystko wyjaśnię. – Siada obok matki. – Widzisz, ostatnio dużo ci opowiadałam o Ziutce. Jak ją niechcący skrzywdziliśmy i o jej ojcu-pijaku i o ciężkich warunkach w domu. Wiesz też o tym, że ten ojciec zginął po pijanemu pod kołami samochodu. Otóż my wszyscy chcemy Ziutce i jej rodzinie dopomóc – każdy w miarę swoich możliwości. I wtedy przyszło mi do głowy, zwrócić się do Julickiej. Ona przecież ofiarowywała mi swoją pomoc. Ja sama tej pomocy nie potrzebuję – damy sobie radę – prawda, matczysko? Ale zaproponuję jej spełnienie dobrego uczynku. Niech od czasu do czasu wyśle fajną paczkę z ciuchami Ziutce i jej rodzinie. Rysikowa jako rencistka, nie zapłaci cła, chyba jakieś grosze, a pomoc dla nich będzie ogromna. Przyodzieją się trochę, a jak z jeden ciuszek sprzedadzą – parę złotych wpadnie. No, co? Nie ma twoja córka główki na karku?

Kuleszowa czule głaszcz jasne włosy dziewczyny. – Wiem, córuchno, wiem! Główka mądra i dzielna – ani słowa! no, cóż – napisz, uczynek rzeczywiście dobry – biedakom dopomóc.

– Myślisz, że nie odmówi?

- Może i nie odmówi, spróbuj.
- Rozumiesz, że dla siebie nie prosiłabym o nic, ale dla Rysików, to inna spawa.
- Rozumiem, dziecko, rozumiem!
- A Ziotka jak się zdziwi, gdy dostanie amerykańską paczkę! Będzie sobie łamać głowę, co to za dobra wróżka ją przysłała. Bo o Julickiej nie wie nikt oprócz nas z tobą.
- Musisz Ziotkę jednak jakoś przygotować na tą paczkę. Jeszcze pomyśli, że zaszła pomyłka i w ogóle nie przyjmie. To drażliwa i ambitna dziewczyna
- Tak uważasz? Trudno, coś wykombinuję. Na razie trzeba uzyskać zgodę pani Julickiej. Zaraz siadam do listu.
- Oleńka nie lubi odkładać rzeczy postanowionej. Pisze więc list, w którym przedstawia sytuację koleżanki i gorąco poleca ją Julickiej, zapewniając jednocześnie o swojej wdzięczności. Czuje się przy tym trochę głupio:
- nawymyślałam jak przyjechała, a teraz uderzam w prośby! – Ale pociesza się, że cel uświęca środki, zwłaszcza dobry cel.
- Kiedy jednak po upływie miesiąca dostaje odpowiedź, otwiera kopertę z uczuciem lekkiego niepokoju. Błyskawicznie przebiega oczami zapisany arkusz i wybucha bojowym okrzykiem: – hura! Matczysko, wygrałam, wygrałam! – Razem z Kuleszową odczytuje list ponownie. Pani Julicka w serdecznych słowach dziękuje Oleńce za zaufanie i zapewnia o swojej radości z jaką spełnia jej prośbę. Paczka została już wysłana na adres Rysików, następne będą nadchodziły w regularnych odstępach czasu.
- W gruncie rzeczy niezła babka z tej Julickiej! Mogę ją zaadoptować jako przybraną amerykańską ciotkę. W ten sposób będzie należała do rodziny. Zgadzasz się, matczysko?
- W każdym razie, córuchno, powinnaś się wyzbyć wszelkiej wrogości w stosunku do niej. A od czasu do czasu trzeba napisać jakiś miły liścik,

zupełnie bezinteresownie.

– Ależ owszem, napiszę chętnie. A wrogości żadnej już nie czuję z chwilą, gdy nie próbuje mnie do siebie zabrać. Wtedy – ot – zezłościłam się, zdenrowowałam i wygarnęłam więcej niż zamierzałam. Ale już mi przeszło. Teraz pierwsza sprawa – przygotować Ziotkę, bo paczka już w drodze. Aha! I jeszcze jedna rzecz, o której dawno już chciałam z tobą pomówić. Otóż koniec z praniem bielizny różnych pań Malinowskich i innych sąsiadek! Wystarczy nam w zupełności to, co zarobisz w fabryce. Do mojej matury pozostały liczone tygodnie, a potem, gdy wstąpię na Politechnikę, dostane stypendium, będę dawała lekcje i doskonale sobie poradzimy.

– Ależ, Oleńko... – próbuje protestować Kuleszowa.

– Nie ma apelacji od wyroku! A cudzą bieliznę, gdy jeszcze w domu zobaczę, wyrzucę za okno, pamiętaj! – Grozi matce z bardzo surową miną, potem całuje ją w czoło i zaczyna się ubierać.

– Idę do Ziotki! Ciau, matczysko!

— • — • — • —

Ale Ziotkę z Jurkiem i Izą spotyka niedaleko mieszkania Rysików.

– Tak ślicznie na dworze, tak wiosennie – mówi Jurek, witając się z Oleńką – że namówiłem Ziotkę na mały spacer. Cały dzień pracuje, musi odetchnąć trochę świeżym powietrzem.

– Spotkaliśmy się po drodze – dodaje Iza – bo właśnie szłam do ciebie, Oleńko. Odprowadzali mnie.

– Wobec tego idziemy razem na łąkę – proponuje Jurek.

Idą więc do parku, podziwiają pierwszą młodziutką zieleń na drzewach i krzakach, wdychają z lubością ciepłe, ale jeszcze trochę ostre powietrze późnego wiosennego popołudnia

Ziotka blada, czarno ubrana, wygląda mizernie, ale jest spokojna. Oleńka niezwykle jak na nią milcząca, rozważa cały czas jak powiedzieć Ziotce o paczce. Rozmowę podtrzymują właściwie tylko Jurek z Izą.

Po wyjściu z parku Jurek nagle zatrzymuje się. – Wiecie co? Mam projekt: wstąpmy do jakiejś małej kawiarenki na kawę z ciastkiem. Może do „Zacisznej”.

– Tylko nie do „Zacisznej” – protestuje gwałtownie Iza – nie znoszę tej dziury! – Nie przyzna się oczywiście, że ma stamtąd przykre i upokarzające wspomnienia.

– No, to do „Oazy”, całkiem przyjemna kawiarenka.

– Czekaście, jak stoimy z forsą? – pyta rzeczowo Oleńka, sięgając do kieszeni płaszczka. – Mnie zawsze matczyńsko podrzuca jakieś drobne... Na filiżankę kawy i jedno ciastko wystarczy – dodaje po przeliczeniu.

– Ja płacę za siebie i Ziotkę – oznajmia Jurek. Ziotka zaczyna gwałtownie protestować i wymawiać się, ale Jurek ją uspokaja.

– Daj mi raz w życiu być dżentelmenem. Nie masz pojęcia jak sam sobie imponuję, gdy w lokalu płacę nie tylko za siebie, ale i za partnerkę. Czuje się wtedy stuprocentowym mężczyzną. Nie pozbawiaj mnie tej przyjemności.

– Ponieważ Iza też wygrzebuje z torebki kilka złotych, nie ma już żadnych przeszkód i cała czwórka po chwili zajmuje stolik w „Oazie”. Gdy kelnerka po ustawieniu przed każdym filiżanki kawy i talerzyka z ciastkiem, znika – Oleńka uznaje, że nadeszła odpowiednia chwila i zwraca się do Ziotki.

– Wiesz, właściwie szłam do ciebie gdyśmy się spotkały, bo chciałam ci coś powiedzieć. To jest fantastyczna historia. Wyobraź sobie, że zupełnie przypadkowo odnalazła się w Ameryce, dokładnie w Chicago, moja ciotka, o której nic nie wiedziałam i którą mama uważała za zaginioną. Autentyczna amerykańska ciotka z milionami. No, może przesadzam, ale w każdym razie bardzo zamożna.

– Gratulujemy! – woła Jurek – jesteś więc bogatą spadkobierczynią milionowej ciotki.

– Niezupełnie, bo ona ma córkę, ale nie o to chodzi. Otóż, owszem, chciała mnie zasypać różnymi dobrodziejstwami, ale ponieważ... zawiniła trochę... wobec mojej mamy, która ma do niej pewną urazę, nie chcę pocziwemu matczysku sprawić przykrości i zanadto się poufalić z tą ciotką. Zwłaszcza, że matczysko zarabia zupełnie wystarczająco na nasze potrzeby, a bez luksusów przecież można się obejść.

– Patrzcie, patrzcie, jaka Oleńka zrobiła się rozsądna i poważna – dziwi się Iza – nawet na luksusach jej nie zależy. A przecież marzyłaś kiedyś o bogactwach.

– Ty też marzyłaś o filmie i co z tego? – odcina się Oleńka, a Iza milknie trochę zmieszana.

– No, dobrze, ale nie rozumiem, co to ma ze mną wspólnego – odzywa się Ziutka.

– Zaraz powiem. Otóż ciotka moja jest dziwaczką. Zamartwia się, że opływa w dostatki, kiedy w kraju tyle ludzi znajduje się w trudnych warunkach. Uważa, że patriotyzm wymaga, żeby choć drobną częścią bogactwa podzielić się z kimś w Polsce. Błagała mnie w liście, żebym wynalazła jej kogoś, komu trzeba i warto dopomóc. Posłałam jej twój adres, Ziutko, ot tak – na wszelki wypadek, bo nie bardzo wierzyłam w szczerą deklarację. Myślałam, że to chwilowa fantazja milionerki. I wyobraź sobie – dziś otrzymałam od niej list, że wysłała na adres twojej mamy (jako rencistka nie zapłaci wysokiego cła) dużą paczkę i ma zamiar regularnie takie paczki wysyłać.

– Hura! Niech żyje amerykańska ciotka! – woła Jurek tak głośno, że kilka par przy sąsiednich stolikach ogląda się na nich ze zgorszeniem.

Ziutka dostaje wypieków. – Ale jakże to? Czy ja mogę przyjąć?

– Musisz, zwłaszcza, że paczka przyjdzie na imię pani Rysikowej. A zresztą, dlaczego nie możesz przyjąć, jeżeli ktoś dla własnej satysfakcji i bez żadnego dla ciebie uszczerbku, chce ci trochę dopomóc w twoich ciężkich

warunkach, dopóki nie staniecie na nogi. Jakie znaczenie dla bogatej amerykańkanki ma kilka ciuchów? Musisz przyjąć, jeżeli nie ze względu na siebie, to przynajmniej dla matki, dla rodzeństwa.

Ziutka siedzi ze spuszczoną głową i milczy. Potem podnosi błyszczące oczy na Oleńkę: – dziękuję ci!

– A mnie za co? – oburza się Oleńka – przecież mówię, że posłałam twój adres na odczepnego, nie wierząc, że coś konkretnego z tego wyniknie. Ale, ale – zmienia nagle temat – patrzcie, czy to nie Małgosia przyszła z tym starszym gościem?

Wszyscy oglądają się na drzwi. Rzeczywiście, do kawiarni wchodzi Małgosia, wystrojona jak laleczka w nowy wiosenny kostium i elegancką bluzeczkę. Towarzyszy jej wysoki, starszy pan.

– Czy to ten facet, co ma się z nią żenić? – dziwi się Jurek – wygląda na jej ojca.

– Jurku, nie mdlejesz? Przecież bujałeś się w Małgosi? – śmieje się Oleńka.

– Dawne dzieje! Odeszło mi zupełnie.

– Czekaście, ja tego gościa skądś znam – Iza wysila pamięć: gdzie ona widziała już tę sylwetkę, te siwiejące skronie?

Przybyła para kieruje się do sąsiedniego stolika. Małgosia dostrzegła już grupę koleżanek z Jurkiem i chwilę waha się, czy udać, że ich nie widzi? Ale zwycięża chęć pochwalenia się swoim towarzyszem. Przechodząc więc koło ich stolika zatrzymuje się, wita i niedbale przedstawia: – mój narzeczony!

W chwili gdy starszy pan pochyła się w ukłonie, Iza nagle doznaje olśnienia: – o rany! – woła w duchu – przecież to „stary podrywacz” z tramwaju. Ten sam, któremu ustąpiłam miejsca! Zdaje się, że i „podrywacz” poznał Izę, bo wygląda na lekko zaskoczonego. Atmosfera jest raczej napięta. Ziutka siedzi z oczami wbitymi w blat stolika – spotkanie z Małgosią, do

której do dziś nie może pozbyć się urazy, robi na niej niemiłe wrażenie. Wszyscy czują się skrępowani. Narzeczeni rzucają więc kilka banalnych zdań i odchodzą ku obopólnemu zadowoleniu i uldze. Omijają obrany przedtem sąsiedni stolik i wyszukują sobie inny, w najdalszym kąciku sali.

– Znasz tego narzeczonego Małgosi? – zwraca się Oleńka do Izy – z takim zdziwieniem na siebie patrzyliście.

– Trochę. Stanął kiedyś w tramwaju naprzeciw mnie i gapił się jak sroka w kość. I ciągle szeptał coś do drugiego, który z nim był. Myślałam – dlatego, że siedzę i nie ustępuję miejsca starszym osobom. Więc gdy wreszcie do mnie podszedł, wstałam i powiedziałam mu, żeby usiadł. Ten drugi w śmiech. Nazwał go „starym podrywaczem”, a on coś burczał pod nosem pod moim adresem. Zdaje się, że „głupia gęś”.

Młodzież wybucha śmiechem. – Świetny kawał! – cieszy się Jurek. – Brawo Izo, niechcący dałaś mu nauczki!

– Cóż z tego, nauka poszła w las. Nie udało się z Izą, poderwał sobie Małgosię.

– Ale, że ona chce takiego starego!

– Małgosi wszystko jedno – byleby wyjść za męża.

Milcząca dotychczas Ziućka wstaje z krzesła: – chodźcie, już późno, muszę kapać dzieci.

Wychodzą roześmiani, trochę hałaśliwi. Odprowadzają ich niechętnie spojrzenia Małgosi i jej narzeczonego.

— • — • — • —

– Co to za historia z tą amerykańską ciotką? – pyta Iza po rozstaniu z Ziućką i Jurkiem. – Czy tylko tak bujałaś?

– Niezupełnie. Przypadkowo odnalazła się w Ameryce... jakaś krewna. Właściwie, to ona mnie odnalazła. Była nawet niedawno w Polsce, dość krótko zresztą, i odwiedziła nas. Chciała na gwałt zabrać mnie ze sobą do Ameryki.

– Jak w bajce z tysiąca i jednej nocy! – dziwi się Iza – Zauważyłam u ciebie ostatnio kilka eleganckich sukienek, pończoszki, torebkę i inne rzeczy, które wyglądają na zagraniczne. Ale, że nic nie mówiłaś, więc nie pytałam się skąd je masz.

– Bo nie było o czym mówić – Oleńka odpowiada coraz niechętniej. – Była, przywiozła trochę fatalaszków, pojechała, ja zostałam. No i już.

– A dlaczego nie chciałaś pojechać z nią? Czy nie znalazłabyś tam lepszych warunków? Przecież zawsze pragnęłaś być bogatą, podróżować...

– Pragnęłam, ale już nie pragnę. Wystarczy mi to, co mam. A w Ameryce nie wiem czy byłoby mi dobrze. Zateśniłabym się na śmierć za matczyskiem, za Polską... Nie ma o czym gadać!

– Zmieniłaś się ostatnio, Oleńka.

– Ty też. Od tej hecy z Wisłockim.

– Daj spokój, nie przypominaj – Iza krzywi się boleśnie.

– Widzisz więc, że każda z nas ma jakąś strunę, której lepiej nie dotykać. Ja – moją... ciotkę, ty – Wisłockiego. Cała pociecha, że obie wyszłyśmy zwycięsko: ty wtedy uciekając, ja – teraz pozostając w miejscu.

– Obawiam się, że moje kłopoty jeszcze się nie skończyły – mówi Iza po chwili milczenia. – Kto wie, czy nie będę musiała zeznawać w sądzie.

– No i cóż wielkiego! Powiesz jak było i – cześć!

– Tak, ale jaki wstyd, jaki wstyd!

– Trudno! Żadna nauka nie przychodzi za darmo. Za wszystko trzeba płacić. Na przyszłość będziesz ostrożniejsza.

Iza ciężko wzdycha. Nie czuje się na siłach zwierzyć Oleńce, że ma jeszcze jeden kłopot: pan Zbigniew, który od jakiegoś czasu jest stałym gościem w domu. Pan Zbigniew, który zabiera matkę do teatru, do kina, chodzi z nią na spacer, albo przesiaduje całymi wieczorami u nich. Iza ma powyżej uszu pana Zbigniewa, jego miłego uśmiechu, jego czekoladek, jego obecności. Ale z kim mogłaby porozmawiać szczerze na ten temat?

Część VIII

W pokoju świadków huczy jak w ulu. Mężczyźni i kobiety, młodzi i starzy... Iza ginie w tłumie, więc odczuwa pewną ulgę. Nie ona jedna dała się nabrać sprytnym oszustom. Żeby to tylko skończyło się prędzej, żeby można było zapomnieć o wszystkim i zacząć żyć spokojnie, jak dawniej – przed znajomością z Mirą.

Od chwili otrzymania wezwania chodzi jak struta. Na próżno pani Helena wszelkimi siłami starała się dodać jej otuchy. Izie ciągle wydaje się, że jest bezpowrotnie zgubiona, że gdy tylko wejdzie na salę rozpraw, sędzia i wszyscy obecni wytkną ją palcami jako współniczkę złodziejskiej pary, może nawet zaarrestują? Przepętniony pokój świadków wlewa w serce Izy odrobinę nadziei. Tyle tu ludzi wplątanych w tę aferę, dlaczego na nią jedną sędzia ma zwrócić szczególną uwagę? Chciwie wyławia strzępy prowadzonych rozmów.

– Wyglądała na taką grzeczną panienkę – opowiada tęga starsza kobieta. – Mówiła, że ma chorą matkę na utrzymaniu, że sama uczy się i pracuje. Pomogła mi wysiąść z autobusu, niosła pakunki aż do domu. Zaprosiłam ją na herbatę. Potem przyszła jeszcze kilka razy, pomogła przed świętami sprzątać mieszkanie. Aż raz przybiegła z płaczem: matka ciężko chora, a w domu ani grosza. Błaga o pożyczkę. Dałam 500 złotych i więcej już nie oglądałam ani pieniędzy, ani dziewczyny. Znacznie później spostrzegłam, że zginął mi zegarek, którego nie używałam, bo nie modny był, ale jeszcze zupełnie dobry.

– Przysięgał, że kocha, że się ożeni – zwierza się w innym kącie pokoju młoda dziewczyna. – Chodziliśmy po sklepach meble wybierać do nowego mieszkania, ale nic mu się nie podobało. Pewnego dnia wpada do mnie i mówi, że poznał jednego kierownika sklepu meblarskiego, który zapew-

nia, że lada dzień przyjdą piękne meble, ale tylko jeden komplet a że amatorów dużo, może ktoś sprzątnąć z przed nosa, więc trzeba temu kierownikowi dać zadatek, to meble zatrzyma dla nas. Miałam na książeczce 3000 złotych oszczędności – dałam mu i tyle go widziałam.

– Józef Kalicki – woła w tej chwili woźny i Iza widzi ze zdumieniem łysego „mecenasa”, którego przed tym nie spostrzegła. Przemyka się koło dziewczyny jakoś chyłkiem, nie patrząc na nikogo, z miną bardzo nietęgą. Jego obecność w tłumie świadków trochę niepokoi Izę, ale ostatecznie dochodzi do wniosku, że nie może jej zaszkodzić. Przecież zwróciła pieniądze, nie została na kolacji, nie pozwoliła się nawet odprowadzić. To raczej on powinien się obawiać, bo był w takiej dobrej komitywie z Wisłockim.

Woźny wywołuje nazwiska następnych świadków. Pokój stopniowo się wyludnia. Iza coraz bardziej zdenerwowana krąży z kąta w kąt. Minuty, godziny, ciągnął się w nieskończoność. Kiedy wreszcie przyjdzie na nią kolej? Chciałabym prędzej mieć to poza sobą.

– Nieczajkowska Izabela – słyszy w końcu i z bijącym sercem przestępuje próg sali rozpraw. Jak przez mgłę rozróżnia wśród publiczności znajome twarze: jest Oleńka, są chłopcy, jest pani Helena, która przybiegła z biura, żeby swoją obecnością dodać córce odwagi.

Na ławie oskarżonych Mira i Pliszka-Wisłocki w asyście milicjantów. Mira w ciemnej skromnej sukience, zupełnie nie umalowana, robi wrażenie bladej i mizernej. Tylko oczy ma podkreślone grubą, czarną kreską. Platynowa czupryna zaczesana z pozorną niedbałością, opada w kokieteryjnych kosmykach na ciemne, gęste brwi. Iza kobiecym instynktem odgaduje, że Mira specjalnie „zrobiła się” na rozprawę, że gra rolę bohaterki kryminalnego filmu i uciśnionej ofiary. Jej poza i spojrzenie są wystudiowane, nieszczerze. Mają wyrażać zupełną rezygnację i załamanie. Natomiast Pliszka całym zachowaniem się, zdradza silny niepokój. Kreci się,

wyłamuje palce, ociera chusteczką czoło i ciągle szepce coś do swego obrońcy.

Sędzia przystępuje do przesłuchania „świadka Nieczajkowskiej”. Pyta dość pobieżnie zresztą o znajomość z Mirą, o przebieg wieczoru u Oleńki, o pożyczanie sukienki. Dłużej zatrzymuje się przy sprawie z Wisłockim i wizycie na Szarej. Iza, cała czerwona ze wstydu i przykrości, nie podnosząc oczu na nikogo, cicho relacjonuje całe wydarzenie.

– Świadek poznaje oskarżonego? Czy to on podawał się za reżysera filmowego? Czy to ten sam Wisłocki?

– Tak.

– Świadek cały czas był przekonany, że oskarżony jest tym, za kogo się podaje? Jego zachowanie się i mieszkanie na Szarej nie wzbudziły w świadku żadnych podejrzeń? – pyta dalej sędzia.

– Owszem, mieszkanie na Szarej i odbywające się tam przyjęcie zrobiły na mnie przykre wrażenie. Wszystko wydawało się takie dziwne... A o Wisłockim pomyślałam, że chce łapówkę za umożliwienie mi występu w filmie. I właśnie dlatego, że nie podobało mi się to wszystko – zwróciłam pożyczkę.

– Tak, to pokrywa się z zeznaniem świadka Kalickiego – kiwa głową sędzia, zaglądając do akt.

Iza z wysiłkiem uprzytamnia sobie, że „świadek Kalicki”, to łysy „mecenas”.

– Jedno pytanie – wtrąca się obrońca Pliszki: – czy świadek naprawdę wierzył, że te pieniądze to tylko pożyczka? Za piękne oczy i „dziękuję”?

– Początkowo tak.

– Jak wynika z podanych personalii, świadek ma osiemnasty rok. Czy dzisiejsza uświadomiona młodzież rzeczywiście potrafi jeszcze być na tyle naiwną? – zwraca się obrońca do sędziego.

Iżę ogarnia wściekłość. – Tak, niestety, byłam naiwną, ale już nie jestem

i nie będę. Nauczyl mnie. Nie będę wierzyła nikomu, nikomu – wybucha – nawet... nawet... adwokatom – kończy niespodziewanie.

Na sali słyhać śmiech. Przewodniczący przywołuje publiczność do porządku i oznajmia Izie, że jest wolna. Dziewczyna cała jeszcze drżąca ze zdenerwowania i przykrości, zajmuje miejsce na sali między matką i Oleńką.

Głos zabiera prokurator. Na wstępie wyraża żal, że na ławie oskarżonych zasiada przedstawicielka młodego pokolenia, dziewczyna, której Polska Ludowa dała wszelkie warunki do pracy, kształcenia się i zostania użytecznym członkiem społeczeństwa.

W krótkich zarysach zapoznaje obecnych z biografią Miry. Ma dopiero osiemnaście lat (– wygląda na znacznie więcej – myśli Iza). Już od dziecka popełniała drobne kradzieże, lubiła kłamać i oszukiwać. Nie chciała się uczyć, rzuciła szkołę, źle się prowadziła, w końcu uciekła z domu. Po zawarciu znajomości z Pliszką, została jego współniczką i razem z nim popełniła cały szereg przestępstw.

Pliszka – to typ skończonego łajdaka i kryminalisty. Był już parokrotnie karany. Grasował stale na fałszywych dokumentach, żerował na naiwności ludzkiej. Ograbił i oszukał mnóstwo osób. Bez żadnych skrupułów pchnął na złą drogę niejedną już młodą dziewczynę, ciągnął dla siebie korzyści gdzie się dało, nie przebijając w środkach.

Iza jest przerażona. Dopiero teraz zdaje sobie w pełni sprawę, jakiego niebezpieczeństwa uniknęła.

Obrońca Miry stara się wybielić swoją klientkę. Podkreśla, że jest córką nałogowego alkoholika, co musiało fatalnie odbić się na psychice dziewczyny. Że nie miała w domu należytej opieki i dobrego przykładu, a potem wpadła w ręce Pliszki, który do reszty ją zdemoralizował i zmusił do współdziałania z nim. Na zakończenie prosił sąd o wzięcie pod uwagę młodego wieku oskarżonej, która w każdej chwili może jeszcze powrócić

na dobrą drogę.

Potem przemawia obrońca Pliszki. Z kolei on usiłuje teraz całą winę zrzucić na Mirę. Pliszka w jego przemówieniu staje się słabą, bezwolną ofiarą, oplataną przez demona – Mirę. Ona go namawiała do przestępstw, a jeśli chodzi o sprowadzanie na złą drogę młodych dziewcząt, to jest w tym dużo przesady. Znajome Pliszki były tego rodzaju, że chętnie same te drogę obierały.

Iza zaciska pięści. Zabiłaby tego adwokata. Przecież on i ją, Izę podejrzewał, że dobrowolnie... Co za upokorzenie! Ach, jak się mści teraz na niej jedna chwila nierozwagi.

W ostatnim słowie oskarżeni proszą o łagodny wymiar kary. Pliszka usiłuje jeszcze coś powiedzieć, ale w końcu macha ręką i siada zrezygnowany. Mira składa dłonie jak do modlitwy i zapewnia sąd, że „żałuje bardzo”... że „już nigdy”... A potem wybucha trochę teatralnym płaczem.

Wyrok sądu brzmi: Białoniówna 2 lata, Pliszka – 5.

— • — • — • —

Iza wraca do domu z Oleńką. Pani Helena pobiegła naprzód gotować obiad. Chłopcy rozeszli się. Edek uszczęśliwiony, że nie został wplątany w sprawę i nie musiał zeznawać w sądzie, popędził do Danusi.

– Zostałem wezwany na salę jako jeden z ostatnich świadków – mówi Iza do Oleńki – opowiedz jak to wyglądało od początku.

– Nic specjalnie ciekawego. Zeznawało całe mnóstwo świadków. Jednego okradł i oszukał Pliszka, drugiego urządziła Mira, jeszcze kogoś trzeciego załatwili oboje. Strasznie srożył się ten, przez którego wpadli, co to samochód miał kupować. Cały czas twierdził, że był krok od śmierci, że go z pewnością chcieli otruć.

– A oni? Oni, co mówili?

– Pliszka pocił się, jękał, ciągle zaprzeczał, ciągle coś prostował, coś próbował wyjaśniać. Natomiast Mira zgrywała się na całego. „Nic nie

pamiętam”, „nie wiem jak to się stało”, „chyba naszło mnie zamroczenie”. Takie numery odstawiała. A teraz ty mnie powiedz: czy po tym wieczorze na Szarej otworzyły ci się oczy, przekonałaś się kim jest Wisłocki?

– Nie całkiem. Nadal wierzyłam, że jest reżyserem filmowym, tylko człowiekiem chciwym i bez skrupułów, który chce na mnie zarobić. Zwątpiłam czy coś uczyni dla mnie bezinteresownie. I kiedy nie pokazał się więcej, nie byłam wcale zdziwiona. Bo musisz wiedzieć, że ja jednak na drugi dzień zagłądałam do „Zacisznej”. Miałam trochę nadziei, że przyjdzie, wytłumaczy się, że mój wyjazd do Warszawy stanie się rzeczywistością. Potem myślałam, że może przyjdzie do mnie do domu, przecież adres mógł dostać od Miry, albo przez nią przekazać mi jakąś wiadomość. Łudziłam się, wiem – głupio się łudziłam, ale widzisz – ja tak bardzo marzyłam o filmie i tak trudno mi było te marzenia pożegnać.

– Rozumiem. A Mirę też podejrzewałaś, gdy nie odniosła sukienki tak jak obiecała?

– Nie. Myślałam tylko, że musiała sukienkę pobrudzić albo rozedrzyć i nie chce odnieść dopóki nie doprowadzi ją do porządku.

– Jednak ten adwokat miał rację – jesteś trochę naiwna.

– Powiedz – byłam, bo teraz stanę się najbardziej podejrzliwą i nieufną osobą pod słońcem.

– Kto się sparzył na gorącym, później na zimne dmucha. Nie trzeba w niczym przesadzać, jak powiedziałby nasz rozsądny Marek. A propos Marka – słyszałam, że bujasz się w nim.

Iza trochę zarumieniona odwraca głowę.

– No, nie masz się z czym kryć. Marek fajny chłopak i mądry. Chociaż ja wole Lucka – z nim można pogadać o wszystkim, a z Markiem trzeba ciągle filozofować.

– On jest trochę za poważny – przyznaje Iza, ale zaraz dodaje z zapałem: – ale żebyś wiedziała jaki delikatny i subtelny, jaki szlachetny! I tak

ciekawie potrafi opowiadać, tak ładnie wszystko wytłumaczyć, gdy człowieka dopadną różne wątpliwości.

Oleńka śmieje się: – dobrze już, dobrze! Nie potrzebujesz go bronić. Rozumiem. Ja też widzę w Lucku bardzo wiele zalet. Ale to wszystko na potem. Na razie bierzmy się do wkuwania, bo matura za pasem.

To samo mówi pani Helenka córce, gdy ta wchodzi do mieszkania.

– Teraz postaw krzyżyk na sprawie Miry i Wisłockiego, odłóż na bok wszelkie głupstwa i bierz się solidnie do książek. Obawiam się, że zaniedbałaś się ostatnio. Już chyba nic cię więcej nie dręczy.

– Nie – odpowiada Iza i myśli jednocześnie jak powiedzieć matce, że częste wizyty pana Zbigniewa spędzają jej sen z powiek.

Część IX

Iza z rozmachem zatrzaskuje zeszyt, w którym rozwiązywała z pomocą Marka równanie algebraiczne. – Mam dość na dziś tego wkuwania. Porozmawiajmy lepiej.

Siedzą na ławeczce w najbardziej odległym zakątku parku. O tej porze jest tu prawie zupełnie pusto. Z dala dochodzą okrzyki bawiących się dzieci. Pachnie parującą wiosennym ciepłem ziemią i świeżą, soczystą zielenią.

– Jak chcesz – odpowiada Marek, nie odrywając jednak oczu od rozłożonej na kolanach książki.

– Powiedz mi – zaczyna Iza – co byś ty zrobił, jakbyś się czuł, gdybyś pewnego dnia zobaczył, że twoja zaniedbana i w twoich oczach stara już matka, nagle przeistoczyła się w zupełnie jeszcze młodą, ładną elegancką babkę?

Marek powoli zamyka książkę. – Nie mam matki. Byłem małym dzieckiem gdy zmarła. Ale gdyby żyła, wiem, że dla mnie byłaby zawsze najmłodszą, najładniejszą i najlepszą z matek.

– Tak. – Iza milknie na chwilę. – No, a gdyby ta matka miała po raz drugi wyjść za mąż?

– Jeżeli w małżeństwie widziałaby swoje szczęście, gdyby kochała... musiałbym się z tym pogodzić – trudno! Jakim prawem mógłbym jej przeskodzić? Ale myślę, że byłbym zazdrosny, że cierpiałbym...

– Widzisz, widzisz – ożywia się Iza – ty mnie rozumiesz. Bo ostatecznie trudno się pogodzić z tym, że twoja dotychczas, bez reszty twoja matka, staje się nagle własnością obcego człowieka. On zajmuje w jej sercu pierwsze miejsce, które należało do ciebie, on zaczyna grać najważniejszą rolę w domu i wypiera cię stopniowo na drugi plan...

– Słuchaj, Izo – przerywa Marek – dlaczego tak się przejmujesz? Czyżby... twoja mama...

– Tak. Zdaje się, że wkrótce wyjdzie za mąż.

– To oczywiście przykre i bolesne dla ciebie przeżycie. Ale czy nie jesteś w tym wypadku egoistką? Przychodziłem do ciebie kilka razy i poznałem twoją matkę. Jest naprawdę jeszcze młodą i ładną kobietą. Przecież jej się też coś od życia należy. Jesteś już dorosła, zdasz maturę i wyfruniesz z domu. Na studia albo wyjdiesz za mąż. Leszek to chłopak, więcej przebywa z kolegami niż z matką. Pomyśl – ona jest w gruncie rzeczy taka samotna. I tyle lat sama na was pracuje. Czy nie wolno i jej w końcu pomyśleć o sobie? A że ładnie i młodo wygląda, że porządnie ubiera się – powinno ci raczej sprawiać zadowolenie.

– Nie chcę, żeby mama stała się szalową babką!

– Ale sama chciałabyś zdobywać ten tytuł na każdym kroku.

– Ja, to co innego

– Widzisz, to właśnie egoizm. Egoizm młodego pokolenia. Zresztą zupełnie dobrze rozumiem, że nie chcesz widzieć w matce „szalowej babki”. Ja też nie chciałbym takiej ani matki, ani żadnej dziewczyny.

– Żadnej dziewczyny? Dlaczego? Nie rozumiem.

– Każda z was, dziewcząt, ubiega się o ten zaszczytny tytuł jak o bojowe odznaczenie. A ja, gdy słyszę dzisiejsze modne powiedzonko „szałowa babka”, charakteryzujące kobietę super nowoczesną i w gruncie rzeczy bardzo płytką, zajęta wyłącznie sobą, swoją urodą, mimo woli myślę o młodziutkich łączniczkach i sanitariuszkach w płonącej Warszawie. Tak samo jak dzisiejszy „równy gość” spędzający noce w knajpach albo na rozróżkach, zblazowany i cyniczny, przywodzi mi na myśl chłopaków z partyzantki i tajnych organizacji. Tamci wszyscy mieli jakiś wzniosły cel, jakąś ideę, dla której oddawali życie.

– Wtedy była wojna – mówi Iza i dodaje po chwili: – myślisz, że my, dzisiejsza młodzież nie potrafimy dokazać tego samego?

– Marek chwilę milczy. – Myślę, że potrafimy. Każdy Polak potrafi pięknie umrzeć, ale nie każdy umie pięknie żyć. Dużo mówi się i pisze o dzisiejszej młodzieży. Jedni napadają na nas, inni bronią, a prawda jak zwykle leży pośrodku. Żalimy się, że starsi nas nie rozumieją, ale czy my staramy się rozumieć starszych? Czy zdajemy sobie sprawę z tego, że oni dźwigają na swoich barkach nie tylko balast lat i trudów dnia dzisiejszego, ale też balast wojennych przeżyć i ciągłej, ustawicznej walki o byt. Z całym okrucieństwem młodości dorzucamy im jeszcze nasze humory, kaprysy, wymagania, naszą bezzwzględność i obojętność, nasz egoizm. A przecież i my kiedyś zestarzejemy się i będziemy potrzebowali trochę serca, trochę ciepła.

– Wynika z tego, że jesteśmy jednak źli – stwierdza Iza.

– Tylko po wierzchu. Wiesz, są jabłka piękne, zdrowe na pozór, a ugryziesz – wewnątrz zgniłe i robaczywe. My jesteśmy odwrotnie – jabłkiem niezachęcającym na wygląd, pokrytym brzydkimi plamami. Ale mięsz zdrowy.

– Surowo jednak osądzasz swoje pokolenie.

– Nie całe. Są wśród nas wspaniałe dziewczęta, dzielni chłopcy, może na-

wet jest ich większość. Chylę przed nimi czoło. Nie znoszę tylko „szałowych babek”, „kociaków” i „równych gości”, których zresztą my – młodzież męska, sami stworzyliśmy. Zrobi dziewczyna z siebie czupiradło, zacznie wywracać oczy jak trzeciorzędny wamp z kiepskiego filmu, pozwoli nam na różne poufałości – już piejemy z zachwyty: „szałowa babka”! „Cudny kociak”! Nic dziwnego, że każda z was ze skóry wyłazi, żeby taki okrzyk uznania zdobyć. Zaleje się chłopak w pestkę, narozrabia, a jakiś niedowarzony smarkacz, któremu zaimponowały te wyczyny, już mu urabia opinię: „to równy gość”!

– Przesadzasz Marku! Przeważnie używamy tych określeń jedynie w wypadku, gdy dziewczyna jest po prostu ładna i elegancka, a chłopak wesoły i koleżeński.

– Owszem, masz poniekąd słusność. Tak bywa przy pierwszym wrażeniu, ale na dalszą metę stracisz prawo przymiotnika „szałowa”, jeżeli będziesz się zachowywać wobec nas powściągliwie i z rezerwą. Tak samo jak „równy gość” przestanie być „równy”, jeżeli nie pójdzie z nami do knajpy. Tak, Izo, przyznaj, że mam słusność. I wykreślmy z naszego słownika, w ogóle z całego życia „szałowe babki”, „kociaki”, „równy gość”. Bądźmy po prostu wysokowartościową młodzieżą, godną nowej epoki, epoki wielkich osiągnięć i jeszcze większych możliwości.

– Jesteś dużo mądrzejszy ode mnie, Marku, więc chyba masz rację. Przykro mi tylko, że po twoich wywodach widzę siebie jakby w krzywym zwierciadle.

– Nie jest tak źle, Izo. Muszę cię rozczarować w twoim pojęciu, a w swoim – powiedzieć komplement: nie jesteś „szałową babką”, tylko pozujesz na nią. To też jedna z naszych największych wad: poza i jeszcze pogoń za tym, co młode, co nam imponuje i czym chcemy imponować innym. Ale nie martw się, wyrośniemy z tego.

Zapada milczenie. Młodzi się zamyślili. Słychać tylko ćwierkanie ptaków

w gałęziach drzew.

– A co się tyczy tego, co mi powiedziałaś o swojej matce – podejmuje po chwili Marek – to albo musisz się pogodzić z jej ewentualnym małżeństwem, albo otoczyć ją takim ciepłem i serdecznością, żeby nie czuła się samotna i nie potrzebowała szukać przyjaźni gdzie indziej. Pamiętaj, nie wolno tylko brać, trzeba też coś dawać z siebie. Sercem płacić za serce.

– Dziękuję ci, Marku – mówi Iza cicho – zawsze mnie czegoś nauczysz.

W końcu alei ukazuje się jakaś młoda para. Zbliża się do nich i z daleka daje im znaki.

– To Oleńka z Luckiem – poznaje pierwszy Marek.

– Są, są! – woła Oleńka – mówiłam ci, Lucku, że siedzą w parku.

Podbiega zadyszana: – ależ naszukaliśmy się was! Cały park ze dwa razy obeszliliśmy.

– Czy się coś stało? – pyta Iza, ciągle od jakiegoś czasu skłonna do lęków i niepokoju.

– Stało się – odpowiada Lucek – że Oleńce nowy pomysł strzelił do głowy.

– Powiedz – kapitalny, fantastyczny pomysł! – prostuje Oleńka.

– Posłuchajcie: pogoda cudna, w poniedziałek zaczynają się egzaminy, wkuwamy całymi dniami jak dzikie osły...

– Czy dzikie osły wkuwają? Nie słyszałem – przerywa Lucek.

– Nie przeszkadzaj, gdy ja mam głos. Otóż musimy w tę niedzielę zrobić małą wycieczkę za miasto. Powiedzmy – nad jezioro. Taki kompletny przedmaturalny relaks. Będziemy się opalać, wygrzewać w słońcu, leżeć na trawie, kąpać się...

– Za wcześnie na kąpiele, woda jeszcze zimna – wtrąca rozsądny Marek.

– No więc, nie koniecznie kąpać się. Możemy na przykład tylko...

– Umyć nogi – przerywa znowu Lucek.

– Jesteś niemożliwy! Możemy popłynąć łódką, pośpiewać sobie, odetchnąć świeżym powietrzem. Czy to nie wystarczy?

- Nie, bo nie widzę w tym programie najmniejszej wzmianki o posiłkach. Nie chcesz chyba żebyśmy skubali trawę jak barany.
- Och ty, żarłoku! Ależ oczywiście, weźmiemy ze sobą całą furę jedzenia: kanapki, jakąś zimną pieczeń, jajka na twardo.
- A do picia?
- Kompot, bo na herbatę za gorąco. Wszelki alkohol oczywiście wykluczony.
- Miejmy nadzieję, że nie zjawi się znowu jakaś Mira z wódką i kiełbasą – dodaje Marek.
- Kiełbasa nie zaszkodziłaby! – wzdycha Lucek.
- To chłopaczysko myśli tylko o jedzeniu! – irytuje się Oleńka – ale nie bój się, specjalnie dla ciebie przyniosę całe kółko kiełbasy.
- Pomysł rzeczywiście fantastyczny – odzywa się uradowana projektem Iza.
- Z tą kiełbasą?
- Nie, z wycieczką. A kto jeszcze będzie?
- Oprócz nas czworga, bo przecież wybierzecie się – prawda? Otóż oprócz nas będzie Edek z Danusią – to całkiem fajna dziewczynka – i Jurek obiecał namówić Ziotkę, żeby się z nim wybrała.
- Marku, a probujesz projekt? – pyta Iza.
- Owszem, jeden dzień relaksu na powietrzu dobrze nam zrobi.
- A więc postanowiono: w niedzielę o ósmej rano wyruszamy!

— • — • — • —

Jeziro leży ciche i gładkie niby olbrzymie lustro, w którym przegląda się wiosna. Zadumane drzewa melancholijnie kiwiają sędziwymi głowami w takt melodii rozśpiewanych w ich gałęziach ptaków. Z białej piany obłoków wynurza się błękit nieba i złote promienie słońca, spadające na ziemię jak duże gorące krople miodu.

- Woda i zieleń! Słońce i powietrze! Czego jeszcze potrzeba do szczę-

ścia?! – woła Danusia rozkładając ręce, jakby chciała objąć cały świat.

– Przydałoby się coś przetrącić – słońce i powietrze nie sycą – mruży pod nosem Lucek.

Oleńka rozpaczliwym gestem chwyta się za głowę: - ja oszaleję! On znowu o jedzeniu! Dopiero przyszliśmy. Ale Edek popiera Lucka. – Co chcesz, świeże powietrze zaostrza apetyt. A ja też nie na próżno uginałem się pod ciężarem Danusinego plecaka. Ciekaw jestem, co do niego napakowałaś? – zwraca się do dziewczyny.

– Same dobre i potrzebne rzeczy.

– Mężczyzna to w ogóle takie juczne stworzenie, coś pośredniego między wielbłądem a osłem – wzdycha Lucek – mogę wam zdradzić w tajemnicy, że plecak Oleńki też miał swoją wagę.

– Jak myślisz – dać im jeść? – zwraca się Oleńka do Izy.

– Zaczekajmy na Ziotkę i Jurka.

– Ale czy przyjdą?

– Chyba tak. Jurek zrobi wszystko, żeby Ziotkę namówić na tę wycieczkę.

– O wilku mowa! – woła Marek wymachując chustką: – idą już! Hop! Hop! Tu jesteśmy!

Spóźniona para nadchodzi szybkim krokiem. Ziotka jest wyjątkowo żywiona. Jurek promienieje.

– Spóźniliśmy się – oznajmia z tryumfem – bo musiałem pooglądać ciuszki.

– Jakie ciuszki?

– Wczoraj nadeszła paczka – uśmiecha się radośnie Ziotka. – Ach, Oleńko, muszę napisać do twojej ciotki i podziękować jej serdecznie. Są tam piękne płaszcze, sukienki, swetry, ubranka dla dzieci – starczy dla nas wszystkich.

– Hura! – krzyczy młodzież chórem – niech żyje Ziotka! Niech żyje amerykańska ciotka! Sto lat!

– Niech żyje Oleńka! – dołącza swój cieniutki okrzyk rozweselona Ziotka
– bo to przecież jej w pierwszym rzędzie zawdzięczam... Śpiewają więc „sto lat” po kolei Ziotce, amerykańskiej ciotce, Oleńce, a potem wszystkim pozostałym, „żeby nie było krzywdy”.

– A teraz, skoro część oficjalna została zakończona, przystępujemy do największej atrakcji dnia – Edek skwapliwie zabiera się do rozpakowywania plecaka. Nagle zatrzymuje się i patrzy na Danusię z przerażeniem. – Dziewczyno, co ty tu masz? – Dramatycznym gestem wyciąga z plecaka zwoje bandaży, waty, butelkę jodyny. – Czy mamy żywić się na wycieczce bandażami i popijać jodyną? Po co ja to wszystko dźwigałem?

– Jak to, po co? – oburza się Danusia – a w razie wypadku na wycieczce. Apteczka pierwszej pomocy jest niezbędna. Mam tu jeszcze krople na żołądek, proszki od bólu głowy...

– Dość! Dość! – krzyczy Edek, zatykając uszy – jeszcze trochę, a będziesz miała wypadek na wycieczce i ja zostanę twoim pierwszym pacjentem. To ja, nieszczęsny, z takim poświęceniem dźwigałem ten plecak, łudząc się nadzieją, że coś z tego będę miał, a tu proszę: jodyna, krople na żołądek, wata...

– Trudno, bracie, Danusia jest pielęgniarzką i nie zapomina o tym nawet na wycieczce – śmieje się Marek.

– Gdybyś zadał sobie trochę trudu i rozpakował cały plecak, znalazłbyś jeszcze paszteciki z mięsem i świetny sernik...

– Danusiu, jesteś genialna! Już rozpakowuję i nawet flacha rycyny, gdybym ją znalazł, nie zniechęci mnie i nie powstrzyma!

Wśród śmiechów i żartów rozpakowują plecaki.

– Gospodarujmy oszczędnie – przestrzega Iza – bo do wieczora daleko, a czuję że, za parę godzin chłopcy znowu zechcą jeść.

– Chłopcy, chłopcy! A wy to niby nie? Delikatne istoty!

– Cisza! – woła Danusia, dzwoniąc łyżeczką o blaszany kubek. – Wznoszę

toast kompotem za pomyślność naszych egzaminów.

– Kto dziś wspomni jeszcze raz o egzaminach – płaci fant w postaci całusa. Ja inkasuję – grozi Edek.

– Śnię o egzaminach, drzę przed egzaminem, jutro egzaminy! – wyśpiewuje Lucek, poczym wyciąga usta do Edka: – płacę fant! Całuj! Wszyscy wybuchają śmiechem. Edek odpycha Lucka. – Wynoś się z pyszczyskiem! Czego się nastawiasz? Akurat ciebie miałem na myśli! Śniadanie na świeżym powietrzu smakuje wyśmienicie. Apetyty dopisują nie tylko chłopcom. Dziewczęta dzielnie im sekundują. Zawartość plecaka Danusi i większa część wiktuałów Oleńki znika w mgnieniu oka. Pozostaje w rezerwie plecak Izy i duża wypchana torba Ziućki. Dziewczęta przezornie ukrywają te rezerwy przed oczami chłopców. – Oni gotowi wszystko pożreć za jednym posiedzeniem, szepce Danusia Izie.

Po posiłku trochę ociężałe i rozleniwione towarzystwo rozbija się na dwie grupy. Chłopcy oświadczają, że będą się opalać. Wyciągnięci na trawie prowadzą ożywioną dyskusję na temat ostatniego meczu piłki nożnej. Dziewczęta łażą brzegiem jeziora, chłodzą w wodzie rozgrzane stopy i dzielą się planami na przyszłość. Danusia z zapalem opowiada o czekającej ją w szpitalu pracy, unosi się nad powołaniem pielęgniarki.

– A ty, Izo, dalej marzysz o szkole filmowej, względnie dramatycznej? – pyta Oleńka.

– Nie, pogrzebałam te marzenia i rozstałam się z nimi na zawsze. Ostatnie przejścia zniechęciły mnie do filmu. Zresztą zaczynam mocno wątpić czy naprawdę mam talent w tym kierunku. A grać całe życie epizody i zostać przeciętną trzeciorzędną aktoreczką wcale mnie nie nęci.

– Więc, co myślisz robić po maturze?

Iza oblewa się rumieńcem: – chyba... wstąpię do Wyższej Szkoły Pedagogicznej – bąka, spuszczaając oczy.

– Tak jak Marek! – wykrzykuje Ziućka naiwnie, a Oleńka i Danusia wybu-

chają głośnym śmiechem.

– Tak – mówi prędko Iza i dodaje natychmiast: – a ty, Ziotka, chyba też pójdziesz na jakieś wyższe studia. Jesteś taka zdolna.

– Na razie idę do pracy, bo sama rozumiesz – matka, czworo rodzeństwa, trzeba im pomóc. Ale mam zamiar robić zaocznie Wyższe Studia Ekonomiczne.

Oleńka nagle rzuca się Ziotce na szyję: – Ziuteńko, jesteś genialna! Tak, to jest myśl! Dziękuję ci, dziękuję!

Wszyscy patrzą na Oleńkę ze zdumieniem.

– A jej co się stało? – dziwi się Danusia. – Oleńko, może tobie słońce zaszkodziło? Zaraz zrobię ci zimny okład na głowę.

– Daj się wypchać z okładem! Nie rozumiesz, że Ziotka odpowiedziała na wątpliwości, które mnie dręczyły od dłuższego czasu. Bo chciałam wstąpić na Politechnikę, to dawno było postanowione. Ale ostatnio wiele się zmieniło. Jednym słowem widzę, że matczyńsko za dużo pracuje, że opada z sił, że czas jej odpocząć. Więc postanowiłam rzucić w kąć marzenie o Polibudzie i pójść do pracy. A teraz Ziotka wskazała mi wyjście. Pójdę do pracy i zacznę studiować zaocznie. Nic straconego! Hura!

– A twoja ciotka nie mogłaby ci pomóc?

– Mogłaby, ale ja nie chcę. Oleńka Kuleszówna do siebie radę sama wszędzie i zawsze.

– Patrzcie, jakiś ruch wśród chłopców – Iza uważnie wpatruje się w oddaloną grupkę. – Myślałam, że posnęli, a oni kręcą się jak przy pożarze.

– Hop! Hop! Dziewczyнки! – woła Edek, przykładając zwinięte dłonie do ust – Danusiu, pogotowie ratunkowe, przybywaj! Wypadek w pracy.

– Co tam się stało? – Dziewczęta biegną zaniepokojone. Okazuje się, że w czasie ich nieobecności Lucek dobrał się do plecaka Izy i wyciągnął puszkę konserw, którą usiłował otworzyć tak niefortunnie, że rozciął sobie rękę blachą.

– Masz pole do popisu, Danusiu. Jest pierwszy pacjent, pokaż, co umiesz. Danusia z całą powagą i przejęciem starannie, dokładnie dezynfekuje skaleczenie i zakłada opatrunek. – Widzisz, Edku, mówiłam, że apteczka się przyda.

Oleńka wzdycha rozpaczliwie: – ten Lucek doprowadzi mnie do szału! Ale dobrze mu tak: łakomstwo ukarane.

– Weź go mocno w swoje ręce, Oleńko – radzi Danusia – z mężczyzną trzeba energicznie. Zobacz jaki Edek zrobił się potulny.

– Nie buntuj ją, nie buntuj! – jęczy „ranny” Lucek.

– Jeszcze gorzej nabuntuję. Czy wiecie, dziewczynki, że ja przed ślubem (jeżeli kiedyś zwariuję i zdecyduję się popełnić to głupstwo) przejdę kurs dzudo. Wyobraźcie sobie, co to znaczy w małżeństwie: jeden nieznacznym ruch i mąż unieszkodliwiony, unieruchomiony.

Wspaniałe – prawda? Radzę wam pójść w moje ślady.

– Świetnie! Zapisujemy się na kurs dzudo!

O, rany, Danusiu! – Edek rozpaczliwym gestem załamuje ręce: – przysięgam uroczyście, że nigdy z tobą się nie ożenię. Nie miałem pojęcia, że taka z ciebie jędza!

– Nie kłóćcie się, zapraszam was teraz na te nieszczęsne konserwy, podłane Luckową krwią – woła Iza, szykując drugi posiłek.

– Fe, Izo, nie psuj apetytu!

– Nie tknę tych konserw, niech Lucek sam zje!

– Uważajcie, bo zostawiłem w nich kawałek brudnego paznokcia. Dziewczęta piszcza, zatykają uszy, ale pomimo tych nieapetycznych dygresji, wszyscy zajadają „krwawe” konserwy, a po nich kanapki i ciastka. Potem wypływają łódką na środek jeziora i śpiewają chórem różne stare i nowe piosenki.

Wieczór zapada, gdy zaczynają zbierać puste już plecaki i torby, szykując się do powrotnej drogi.

- Piękny był dzień – wzdycha Danusia – szkoda, że się skończył.
- Ostatni dzień beztroskiej młodości – mówi zadumany Marek – od jutra egzaminy, a po nich wchodzimy w życie.
- Ale jeszcze długo będziemy młodzi, to cała pociecha – uzupełnia Iza.
- „Młodości, podaj mi skrzydła” – deklamuje Danusia, a Marek uśmiecha się marzycielsko. – Tak, skrzydła, skrzydła nam potrzebne, żeby latać wysoko, pod samym słońcem. Wtedy naprawdę długo, jeszcze długo będziemy młodzi!

— • — • — • —

No i po wszystkim. Minęły egzaminy – dni napięcia, niepokoju, nerwowych przeżyć. Minał komers i chwile radosnej ulgi, że się przebrnęło szczęśliwie, że pozostało w tyle groźne widmo matury. A teraz jest jakoś smutno i dziwnie.

Iza siedzi w ogródku przed domem, wygrzewa się w słońcu, słucha świergotu ptaków i myśli o szkole. Nigdy dawniej nie przypuszczałem, że będzie tęsknić za „budą”. Narzekało się na profesorów, na lekcje, na przykry obowiązek odrabiania zadań i wczesnego wstawania. A teraz szkoda, że to się skończyło, teraz czegoś brak. Jakaś melancholia ogarnęła dziewczynę. Może przyczyniły się do tego i inne sprawy. Lato w całej pełni – piękne, zielone, upalne. Miasto wyludniło się, dusi kurzem, pali żarem rozgrzanych kamienic. Ulice są puste i nudne. Cała Izy „paczka” też się rozproszyła. Danusia i Edek wyjechali na obóz gdzieś na Mazury. Oleńka zmusiła matkę do przyjęcia wczasów przyznanych przez fabrykę. Kuleszowa nigdy dotąd nie wyjeżdżała i teraz wzbraniała się długo, ale uparta Oleńka postawiła na swoim. Sama odwiozła matkę, a ponieważ to nie daleko, wpada do niej od czasu do czasu na parę dni. Opowiadała Izie, że spotkała kiedyś Małgosię, która nie mogła odmówić sobie przyjemności pochwalenia się, że wyjeżdża z rodziną i narzeczoną na całe lato nad morze, a po powrocie odbędzie się jej ślub. Jurek siedzi na wsi u rodziny,

Lucek gdzieś wędruje autostopem, a za dwa tygodnie Marek z ojcem i starszym bratem wyruszają na wczasy turystyczne. Ona, Iza, lipiec będzie w mieście. W sierpniu, matka chce ją wysłać do swojej kuzynki, do małej górskiej miejscowości, bo sama bierze urlop i jedzie na wczasy nad morze. Leszek będzie wtedy na kolonii.

– Ciekawam – myśli Iza – czy pan Zbigniew też w tym samym czasie będzie nad morzem? – i ogarnia ją złość na tego obcego człowieka, który gwałtem wdziera się w ich życie. – Wszyscy jakoś się urządzili na wakacje – wzdycha. Bo nawet Ziotka otrzymała podobno bardzo serdeczny list od rodziny Jurka, zapraszający ją z dziećmi do nich na wieś i prawdopodobnie skorzysta z zaproszenia. Iza ma żal do matki: taka się zrobiła ostatnio inna, obca, zajęta sobą i panem Zbigniewem. Wysłała ją, Izę do tej górskiej dziury, do mało ciekawej kuzynki i wcale się nie troszczy czy Iza ma ochotę tam jechać. Chociaż z drugiej strony, co będzie robiła sama w dusznym zakurczonym mieście?

– Już nie jestem mamie potrzebna – myśli z goryczą – ma teraz swojego pana Zbigniewa. – Ale zaraz odzywa się w niej drugi głos:

– a czy zrobiłaś cokolwiek, żeby być matce potrzebną?

Czy jej w czymś dopomogłaś? Czy interesowałaś się jej sprawami i kłopotami? Czy próbowałaś jej ulżyć? Nawet pójść z nią gdziekolwiek od czasu do czasu, nie miałaś chęci. Woliałaś towarzystwo Oleńki albo Marka. I sama nigdy nie zbliżyłaś się do niej z zaufaniem, nie zwierzałaś się ze swoich myśli, uczuć i pragnień. Raz jeden nastąpiło chwilowe zbliżenie – wtedy, kiedy byłaś zupełnie zdruzgotana sprawą z Mirą i Wisłockim. Wtedy szukałaś ratunku i pociechy u matki, a potem znów zamknęłaś się w swojej skorupie jak ślimak. Iza przypomina sobie rozmowę z Markiem w parku, to, co powiedział o stosunku młodzieży do starszych. Egoizm... Okrucieństwo młodości... I że za serce trzeba płacić sercem... Że trzeba z siebie też coś dać... Tak, miał słuszość: to w dużym stopniu jej wina, że

matka teraz odchodzi od niej coraz dalej. Izę ogarnia lęk. Zaczyna zdawać sobie sprawę, że za nic w świecie nie chce utracić matkę, nie chce by ją zagarnął ten obcy człowiek. Może jeszcze nie jest za późno? Ona zmieni się, będzie dla matki dobra i czuła jak Oleńka w stosunku do pani Kuleszowej. A przecież Oleńka była dawniej bardziej jeszcze opryskliwa, gburowata i obojętna dla matki, niż Iza. Lekceważyła, wstydziła się jej nawet. Ciekawe, co wpłynęło na tę zmianę? Czy nie ma ona jakiegoś związku z wizytą amerykańskiej ciotki? o której Oleńka tak niejasno wspominała? Na pewno tkwi w tym jakaś tajemnica, tylko że Oleńka milczy jak grób i żadna siła nie potrafi wydobyć z niej prawdy. Rozmyślania Izy przerywają odgłosy wesołej rozmowy. Do furtki zbliża się roześmiana para. Pani Helena w jasnej letniej sukience wygląda ładnie i młodo. Opaliła się, zęby połyskują w uśmiechu, robi wrażenie zadowolonej z życia kobiety. Opowiada coś z ożywieniem wpatrzonemu w nią panu Zbigniewowi. Na widok Izy nagle milknie. Dziewczyna powoli podnosi się z ławeczki i idzie do furtki. Staje obok matki, jakby chciała zaznaczyć swoje prawo do niej.

– Tak długo ciebie nie było. – Jakaś żałosna nuta drży w spokojnym na pozór głosie dziewczyny. Pani Helena patrzy na nią niepewnie.

– Dzień dobry, panno Izo. Co słyhać nowego? Wypoczywa pani po trudach matury? – woła wesoło pan Zbigniew, ale Iza odpowiada tylko chłodnym skinieniem głowy.

– Może pan wstąpi, panie Zbyszku – zaprasza pani Helena.

– Nie, dziękuję, wpadnę jutro. Dziś – podkreśla znacząco – nie chcę przeszkadzać paniom. Całuje ręce pani Heleny, Izę żegna lekkim ukłonem i odchodzi pewnym, sprężystym krokiem. Matka i córka milczą, wchodzą do domu.

– Nie bardzo lubisz pana Zbigniewa – odzywa się wreszcie pani Helena.

– Jest mi obojętny, jak każdy obcy człowiek – odpowiada Iza, kładąc na-

cisk na słowo „obcy”.

– Szkoda, bo jest naprawdę dobrym i miłym człowiekiem. Leszek bardzo się z nim zaprzyjaźnił.

Iza pogardliwie rusza ramionami: – Leszek! Leszkowi wystarczy, że mu ktoś co dzień przynosi czekoladę i godzinami ogląda jego zbiory znaczków. To przecież jeszcze głuptas! Spiesznie wychodzi do swego pokoju z miną mówiącą o tym, że ma pilne zajęcie i nie chce tracić czasu na prowadzenie rozmów o panu Zbigniewie. Ale właściwie nie ma żadnego zajęcia i nie wie jak zabić dłużący się czas. Może wpaść do Oleńki – jeżeli nie pojechała do matki, powinna być w domu. Może zatelefonować do Marka i umówić się z nim na kąpielisko? Co robić w mieście z długim, upalnym lipcowym dniem?

– Izo, chodź tu na chwilę – słyszy za drzwiami głos matki.

Pani Helena stoi przy otwartym oknie i patrzy jakimś dziwnym spojrzeniem na wchodzącą do pokoju córkę.

– Wołałaś mnie? – pyta Iza.

– Tak, chciałam z tobą porozmawiać. – Zapada cisza. Iza stoi ze spuszczoną głową, wsłuchana w bicie własnego serca. Czuje, że zbliża się coś nieuniknionego.

Pani Helena długo przygląda się córce. (Zmizerniałaś ostatnio. To te egzaminy cię wykończyły.)

Iza milczy.

– Pobyt u kuzynki Stasi dobrze ci robi.

– Tak – pada cichutka, bezbarwna odpowiedź.

– A od jesieni jest nieodwołalnie Wyższa Szkoła Pedagogiczna? – pyta dalej matka.

– Tak.

– Zmieniłaś się, spoważniałaś... Film ci z głowy wywietrzał... To wpływ Marka – prawda? Podoba mi się ten chłopak – taki nie zepsuty, rozsądny,

poważny...

– Ty też zmieniłaś się – przerywa nagle Iza.

– Ja? – pani Helena jest trochę zmieszana – ale chyba nie w stosunku do ciebie?

– Owszem, w stosunku do mnie też.

– Przewidzenie! Ale skoro zaczęłyśmy mówić o zmianach... Widzisz, tak się składa, że w moim życiu zajdzie zmiana. Wychodzę za mąż... za pana Zbigniewa. W czasie mego urlopu weźmiemy ślub i wyjedziemy nad morze na dwa tygodnie.

Iza stoi blada jak ściana. Zaciska zęby, żeby nie krzyknąć. A więc stało się. Straciłam matkę na zawsze. Za późno, żeby coś naprawić.

Pani Helena przygląda się córce z niepokojem. – Co ci jest? Chyba nie przejęłaś się tym co powiedziałam. Wiem od dawna, że w gruncie rzeczy nie jestem ci już potrzebna... Dlaczego nic nie mówisz?

– Co ci powiem, co?! – wybucha dziewczyna z rozpaczą: – że byłaś, jesteś i będziesz zawsze mi potrzebna! To ja ci jestem teraz niepotrzebna! Wyrzekasz się mnie, wybrałaś pana Zbigniewa! Dobrze! Dobrze! A więc i ja nikogo nie potrzebuję! Pójdę sobie z domu, pójdę stąd! Wybiega ze swego pokoju, zatrzaskując za sobą drzwi.

Pani Helena zostaje sama. Jest wstrząśnięta i oszołomiona. Nie spodziewała się tak gwałtownej reakcji ze strony córki. W sercu jej narasta bunt. Z jakiej racji ta smarkula urządza sceny matce? Czy nie dość było poświęceń i ofiar z jej strony? Czy nie ma prawa do życia i do szczęścia? Iza jest już dorosła, wyfrunie wkrótce z domu, może wyjdzie za mąż. Potem Leszek podrośnie i pójdzie swoją drogą. Zostanie sama. Uciekną resztki młodości, wszyscy ją opuszczą – pozostanie samotność... Samotność aż do śmierci. Dobrze jeszcze, dopóki jest młoda, zdrowa. Ale przyjdzie starość, choroby, niedołęstwo. Co wtedy ją czeka? Łaskawy kąć u córki i zięcia, albo u syna i synowej. Wrogość i uprzedzenie tych, którym wystarczy naz-

wa „teściowa”, by stać się dla nich uosobieniem zła. Może i ten łaskawy kąć nie będzie własnym kątem? Może zabraknie nawet miejsca dla niej przy stole dzieci? Czym będzie dla nich? Niepotrzebnym, bezużytecznym, zawadzającym gratem. Oto jedyna nagroda, jaka ją czeka za wszystkie poświęcenia. Nie, nie będzie się narażać na te ewentualności dla chwilowej fantazji, kaprysu i egoizmu córki, która zawsze widziała tylko siebie i własną wygodę. Nie zniszczy swego szczęścia, nie przekreśli całej przyszłości, bo Izie nie chce się pozbywać niewolnicy. Bo czymże była dotąd, jak nie niewolnicą własnych dzieci?

Pani Helena chodzi z kąta w kąt coraz bardziej zdenerwowana i wzburzona. Nagle zatrzymuje się: z pokoju córki dochodzi ją rozpaczliwy szloch. Iza płacze... Iza cierpi naprawdę... Jej córka... Jej dziecko cierpi...

W pani Helenie następuje nagły zwrot. – Nie – mówi do siebie – dzieci mogą podeptać twoje serce, zlekceważyć ofiary, zapomnieć o nich, dzieci mogą zadać ci niejedyn bolesny cios, ale ty – pomimo wszystko – do ostatniego tchu, będziesz pragnęła jedynie i przede wszystkim, ich dobra. Bo jesteś matką. Twoim przeznaczeniem jest przebaczać, cierpieć i składać im w ofierze siebie, swoje serce, całe swoje życie. Dzieci mogą cię odepchnąć, ale ty nigdy nie odepchniesz żadnego swego dziecka, nigdy świadomie nie zadasz bólu. I rzucisz wszystko, śpiesząc na wołanie „jesteś mi potrzebna”.

Walka skończona. Matka zwyciężyła kobietę. Smutnym uśmiechem żegna pani Helena wizję osobistego szczęścia. Cicho uchyla drzwi i wchodzi do pokoju córki. Iza leży z głową schowaną w poduszki i szlocha. Widać drganie jej wąskich szczupłych ramion. Pani Helena zbliża się, siada przy niej, delikatnie unosi głowę dziewczyny i odwraca do siebie zalaną łzami twarzyczkę.

– Uspokój się, córeczko, nie płacz już. Chciałam ci powiedzieć, że... ja... nie wyjdę za mąż za pana Zbigniewa. Rozmyślałam się. I wiesz co? W sier-

pniu, gdy dostanę urlop pojedziemy razem nad morze, dobrze?

Iza patrzy chwilę na matkę, jakby po raz pierwszy ją zobaczyła. Potem gwałtownym ruchem zarzuca jej ręce na szyję i zaczyna okrywać pocałunkami. Dłuższą chwilę siedzą tak, mocno przytulone do siebie, po raz pierwszy naprawdę sobie bliskie.

– Mamusiu – mówi Iza cicho i czule – zróbmy sobie dzisiaj święto, chodźmy we dwójkę na spacer, jak dwie dobre przyjaciółki, a wieczorem razem do kina. Dobrze?

Pani Helena uśmiecha się: – świetnie, ale myślę, że towarzystwo trzeciej osoby, jakiegoś opiekuna na przykład, przydałoby się nawet najlepszym przyjaciółkom.

Iza patrzy na matkę trochę nieufnie: – nie masz chyba na myśli pana Zbigniewa?

– Nie, z panem Zbigniewem koniec. Po prostu myślałam o... Marku.

— • — • — • —

Spis treści

Część I	2
Część II	7
Część III	20
Część IV	36
Część V	54
Część VI	71
Część VII	80
Część VIII	91
Część IX	97